

Pascal Laine

Koronczarka

Przełożyła Ewa Stocka Kalinowska

Tytuł oryginału: La Dentellière

1

Historia ta zaczyna się w jednym z departamentów północnej Francji, tym, który na mapach ma kształt buraka.

Zimą, ci którzy nadjeżdżali tam samochodami, widzieli tylko jakąś wypukłość, jakiś bąbel na horyzoncie. I wieczny zmierzch, w porze gdy drzewa odsłaniały swoją sękatą nagość na skraju pól.

Domy w wiosce były z cegły, parterowe. Pomiedzy dwoma szeregami zabudowań droga kurczyła się, nie była to jednak ulica, mimo wyasfaltowanych chodników zazwyczaj starannie wyblyszczanych przez deszcz. Samochody wytyczały podwójną koleinę w błocie zmiażdżonych buraków. Ciężarówki robiły to samo.

Gromadka zakapturzonych dzieci zbierających się przy wejściu do szkoły i niewielki bałagan przez nie powodowany znikał szybko, pochłonięty z jednej strony przez szosę, z drugiej przez ogrody warzywne. Innymi słowy zimą w wiosce panował spokój. Wieczorem psy przemykały z ciemności w ciemność. Albo dał się słyszeć syk roweru, zwykły zapis ciszy, której obszar powiększał się za każdym razem w coraz rozleglejszych odstępach pomiędzy swojskimi wstrząsami wywołanymi przez pojazdy naczepowe.

To wioska robotnicza, ale fabryka zawiesiła działalność. Pozostała z niej skorupa z cegiel i żelaza.

Mimo wszystko lato było zabawniejsze. Zdarzały się długie momenty, gdy świeciło słońce i droga była sucha. W małych ogródkach rosły kartofle. Na zewnątrz suszyła się bielizna. W odstępach między domami biegły ścieżki pełne pustych butelek. Wieczorem, po dniu pracy w mieście, ludzie wysiadający z autobusu nie spieszyli się zbyt. Wygrzewali się na słońcu, które właśnie znikalo za połyskującą czerwono szosą. Nadchodziła noc. Niebo przybierało barwę świeżego cementu i stawało się doskonale gładką ścianą, na której jak duża żarówka wisiał księżyc. Około wpół do ósmej wracali do domów, by obejrzeć telewizję.

Dla dzieci była to pora zabaw na chodnikach i mniej lub bardziej celowych działań w kątach za domami.

Było takie miejsce, gdzie droga krzyżowała się z szosą departamentalną. Szosa miała pierwszeństwo przejazdu. Stał tam kościół. I pomnik ku czci poległych. I ławki wokół niego. Kiedy było ładnie, przychodziły tu staruszki i staruszkowie.

Zajmowali miejsca na ławkach i w skupieniu oddawali się czytaniu gazet lub robieniu na drutach. Siadywały tam także dwie lub trzy smarkule, na ogół te same, z twarzami

zwróconymi w stronę szosy z pierwszeństwem przejazdu. Patrzyły na przejeżdżające samochody i ciężarówki. Jedną z nich była Pomme.

A teraz przejdźmy do domu Pomme i jej matki. Oto duży pokój z dość długim stołem pomalowanym na biało. Na stole cerata w róże, które pożółkły pod wpływem wody Javel (były też na niej żółte zacieki, które przypominały liście w bukacie, i dziury po papierosach, które niczego nie przypominały).

Były tam także krzesła - jedne pomalowane pod kolor stołu i inne, których kolor zupełnie nie był dobrany. I wreszcie kredens.

W tym pokoju można było się zamknąć i rozpaść w piecu, można było nawet nałożyć kapcie i szlafrok, a mimo wszystko nadal pozostawało się w niemalże dotykającym, wibrującym zasięgu ogromnych kół ciężarówek. Przetaczały się na zewnątrz w odległości kilku zaledwie metrów. To właśnie z ich powodu miało się wrażenie, że w tym domu coś się jakby nie domyka, jakby sam był poboczem drogi.

Po obu stronach pokoju, który był pokojem głównym, znajdowały się małe pokoiki.

W pierwszym szafa z lustrem i łóżko jak miękka niecka, skąd sny, że tak powiem, mogły płynąć prosto do rynsztoka. U stóp dużego łóżka stało dzieciinne łóżeczko z prętami. Pręty w zależności od miejsca były albo chromowane, albo dobrze przerdzewiałe.

Pomme spała w drugim pokoju, tym, który nie został opisany, od czasu kiedy była już za duża na łóżeczko z prętami.

Nazywano ją Pomme z powodu jej krągłych policzków. Były także bardzo gładkie, te jej policzki, i kiedy w jej obecności mówiło się, że są takie gładkie i krągłe, to nabierały nawet nieco połysku. Teraz miała jeszcze i inne krągłości, w których chłopcy ze wsi, z braku poety na nieszczęście nieobecnego w całej tej historii, zaczynali dostrzegać kosz pełen owoców. Ale Pomme, na swój sposób bardzo harmonijna, nie potrzebowała poety. Być może nie była naprawdę piękna.

Nie miała tej interesującej kruchości wszystkich subtelnych, młodych dziewcząt, których skóra sprawiała wrażenie przejrzystej, jakby świeżo obmytej, jeśli można by to było czynić jedynie za pomocą spojrzenia. Przeciwnie, jej dłoń łączyła się z przedramieniem może nie prostacko, ale solidnie, przedramię zaś z ramieniem w podobny sposób i tak dalej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

Pełnia to nie jest odpowiednie słowo dla określenia dziewczyny w tym wieku

(powiedzmy czternastoletniej), a jednak to dziecko od razu dawało wrażenie pełni: kiedy była zajęta lub gdy siedziała albo wyciągnięta nieruchomo marzyła, kiedy miała zamknięte oczy i na w pół rozchylone usta, a jej senny duch oddalał się, obecność jej ciała

królowała w całym pomieszczeniu. Pomnie była zaledwie ukończona, ale doskonale jednolita, o nadzwyczajnym ciężarze gatunkowym. Jej dusza również musiała być jędrna i mięsista. Nie należała do tych istot, których obecność rozplywa się w abstrakcji spojrzenia czy słowa; jej gesty, jej zajęcia, nawet te najbliższe, zamieniały każdą chwilę w wieczność.

Oto nakrywa do stołu, pierze bieliznę, odrabia lekcje (ze wzruszającą pilnością), a te zachowania, te różne sposoby istnienia emanują z niej zgodnie z całkiem naturalną potrzebą w tym oswojonym świecie. Jej krótkie dłonie stawały się rozgorączkowane, kiedy wprawiała się w robieniu na drutach: ta czynność niemalże odrywała się od niej, nie zrywając jednak tej jedności między subtelnością a niejaką masywnością. Jej praca, wszystko jedno jaka, stawała się natychmiast tą zgodnością i jednością. Była wówczas, jak inne, tematem jednego z tych obrazów rodzajowych, gdzie kompozycja i anegdota powołują do życia postać, jakby osadzoną w swoim geście. Na przykład sposób, w jaki ścisła między wargami szpilki do włosów, kiedy poprawiała kok! Była Praczką, Kobiętą Niosącą Wodę albo

Koronczarką.

Być może Pomme odziedziczyła te predyspozycje po matce, która usługiwała w barze w mieście. Za każdym razem, kiedy jakiś pan kazał jej iść ze sobą do pokoju na górze, jej matka w myślach odpowiadała: „Do usług psze pana”. Ponieważ usługiwała także w tym szczególnym sensie, była jednak dokładnie taka sama na antresoli, jak i na parterze, w pozycji stojącej, jak i na czworakach, zawsze pełna prostoty i spontaniczna jak jej córka. Zarówno u jednej, jak i u drugiej przyzwolenie całą sobą na to, co się zdarza, było takie samo: mogło to być spotkanie w pokoju nad barem, ale było zawsze zgodne z tym samym naturalnym, jednoznacznym odruchem, prawdziwie czystym wbrew wszystkiemu. Jednak kelnerka nie zdejmowała butów z powodu drzazg w podłodze. To było jej jedyne w życiu milczące wahanie.

Pomme i jej matka były do siebie podobne także dzięki równemu usposobieniu.

Przyjmowały zupełnie zwyczajnie radości i zawody, jakimi los je niezbyt zresztą hojnie obdzielał. One i ich mały domek na poboczu drogi stanowiły martwą odnogę istnienia, milczące światło z oknem obok służy, przez którą inne istnienia przechodziły w pośpiechu.

Pomme nie wydawała się ani zdziwiona, ani zakłopotana pierwszymi objawami kobiecości, o których nikt jej nie uprzedził. Sama zmieniała i uprała pościel, nie kryjąc się z tym, ale też nic nie mówiąc, jak kot, który przykrywa swoje odchody ziemią albo trocinami. Matka zobaczyła ją, jak starannie, ale bez popłochu usuwa ślady. Dziewczynka wysłuchiwała wyjaśnień z dokładnie takim zainteresowaniem, że można by uwierzyć, iż sama o nie prosiła. Pomme była krągła i gładka tak fizycznie, jak i wewnętrznie: nie istniała w niej żadna

chropowatość, która stanowiłaby przeszkodę dla biegu rzeczy. (Tu autor mógłby porozwodzić się odrobinę nad problemem życia pod wspólnym dachem dziewczynki i matki, która trudni się prostytutką. Mógłby wspomnieć o bezsennych nocach, o godzinach oczekiwania, gęstniejących od głuchego wstydu dziecka, na powrót w środku nocy tej kobiety o ciężkim, tępy niczym uderzenie młota kroku; o jej oczach otępiałych ze zmęczenia i niesmaku, które krzyżują się w szparze uchylonych drzwi z bladym i boleśnie badawczym błyskiem w spojrzeniu dziewczynki).

Trzeba by było powiedzieć także o ordynarnych żartach i aluzjach, i o milczeniu jak sztylet, którym w odpowiedzi daremnie broniłaby się Pomme przed złymi językami czyhającymi na nią na ulicach wioski, które za każdym razem raniłyby jej duszę ciosami coraz głębszymi i precyzyjniejszymi. Wreszcie można by sobie wyobrazić gorzki los tego dziecka i powieść mogłaby się stać historią jego poniżenia na miarę początkowej prostoduszności).

Otóż sprawy miały się zupełnie inaczej. Po pierwsze Pomme i jej matka były obdarzone tego typu niewinnością, która nie ukrywa rzeczywistości, ale przeciwnie czyni ją tak przejrzystą, że wzrok nie ma się na czym zatrzymać. Nie ma więc powodu, by interesować się tym, czy Pomme „podejrzała”, jaka była sytuacja życiowa jej matki. Pomme nie była zdolna do podejrzeń. Jednakże nie było to bez znaczenia dla jej losu (o ile można ustroić w słowo „los” tę istotę o nieskomplikowanych dziejach), że matka była dziwką w miejskim barze; tym bardziej że kobiecie tej zdarzało się ulegać nagabywaniom panów z pokoju na górze w obecności swej córki. Ta sytuacja i to, co mówiła jej matka, tak w istocie zabawne w swojej banalności (było w tym coś tak bardzo nieszkodliwego, że uczciwa kobieta mogłaby to powiedzieć swojemu dziecku, używając dokładnie takich samych słów), kazało Pomme mieć ogromny szacunek dla przymiotów „pana”.

Nie dostrzegała tych przymiotów w samcach ze wsi (na przykład kiedy szła do szkoły lub kiedy z niej wracała). Mieli oni w sobie coś anarchizującego, skrót całej nędzy tej ziemi, odór wina, strajki, pochody pierwszomajowe i cały ten bałagan, jaki nam czasami pokazują w wiadomościach telewizyjnych. Pomme i jej matka miały sąsiada, który, ot tak sobie, terroryzował dzieci ze wsi na środku szosy, kiedy był dobrze zalany. Pomme widziała jego członek. Panowie z miasta nie mogli być zbudowani w podobny sposób. Choćby dlatego, że panowie to notariusz, aptekarz, przemysłowcy, kupcy. A co się tyczy zezwierzęcenia, to mieli przecież zegarki, złote sygnety i wreszcie grube książeczki czekowe. To przy ich pomocy rozpruwali dziewczętom brzuchy, podczas gdy ich żony łagodnie poddawały się w domu menopauzie (oczywiście Pomme nie uświadamiała sobie wszystkich tych spraw).

Latem siadywała na ławce na placu, za ledwie zwracając uwagę na kierowców samochodów tak bliskich, na chwilę nim pomkną drogą główną niknąc za horyzontem, i tak dalekich zarazem, podobnie jak ci panowie postrzegani przez szybę słów jej matki.

Żyły z dnia na dzień, a ich życie, poza kilkoma szczegółami, podobne było do życia innych mieszkańców pobocza drogi. Matka Pomme nie kupowała sukienek z furgonetki, która przyjeżdżała we wtorki i soboty. Chodziła do sklepów. Malowała się. Palila. Rozgniatała niedopałki na dywanie w przymierzalniach. Zupełnie nie przywiązywała wagi do swoich strojów, stłoczonych na kupie w szafie z lustrem.

Ta kobieta, odznaczała się w stosunku do rzeczy zupełnie niezwykle niefrasobliwością, obojętnością, która w swej dosłownie zgubnej przesadzie ocierała się o cnotę. To, co znajdowało się w jej domu, to nie były meble, ale zbiór zakurzonych przedmiotów, martwych, pozbawionych nawet swoich nazw, wydobytych przed chwilą z wozu meblowego i złożonych na chodniku pośród bezlitosnej ludzkiej zbieraniny.

Pomysł, że oszczędzając i lokując pieniądze mogłaby się stać bogata, pozwalał przypuszczać, że ciągnęła zyski z możliwości, jakie dawała jej profesja. Ale musiałaby prowadzić rachunki, zastanawiać się, robić zupełnie co innego niż całkowicie bierne poddawanie się chwilom w pokoju nad barem. Była niezdolna do takiej premedytacji.

Pomme była jeszcze zupełnie mała, kiedy ojciec opuścił dom. Bez wątplenia zapomniała o nim. Ani ona, ani jej matka nigdy o nim nie mówiły. Zanim przepadł na dobre, już wcześniej zdarzało mu się znikać. Nie było wiadomo, dokąd wyjeżdża ani na jak długo. Czasami były to trzy dni, innym razem sześć miesięcy. Nigdy nic przedtem nie mówił. Należał do ludzi, którzy wychodzą kupić pudełko zapalek i zapodziejają się, ponieważ za ulicą, na której znajduje się kiosk, jest jakaś inna ulica, a dalej jeszcze inna. I jak się nad tym dobrze zastanowić, nigdy do końca nie zdołają obejść choćby jednego kompleksu domów.

Ojciec Pomme był łagodnego usposobienia. Nigdy nie podnosił głosu, używał zawsze minimum słów. Rozmyślał w milczeniu, marzenia płynęły jedno po drugim. Był miły dla żony. Lubił bawić się z córką. W przerwach między rozmyślaniami nie odczuwał potrzeby, by porozmawiać. Aż w końcu wyjeżdżał. Niekiedy przysyłał przekazy, ale nigdy listu ani żadnego wyjaśnienia. Jego sprawy nie były łatwe do wyjaśnienia.

Matka Pomme nie zamierzała się buntować przeciwko temu niezgłębionemu postępowaniu. Musiała bardzo kochać męża, którego nieobecności przechodziły jedna w drugą, ale nawet jeśli ją raziły, to i tak niczego nie dawała po sobie poznać. Jej mąż był mężczyzną, który odchodzi na skutek takiego samego zrzędzenia losu jak to, które sprawia, że

mąż sąsiadki jest „mężczyzną, który pije”. To tak, jakby się mówiło: to człowiek jowialny albo - to choleryk.

Tak więc „mężczyzna, który odchodzi” w końcu odszedł na dobre, bez najmniejszych wątpliwości, ponieważ powiedział „odchodzę”: ta niecodzienna pieczołowitość wyraźnie oznaczała, że jego odejście jest definitywne. Nie było w tym wahania, po prostu odszedł w najbardziej banalny sposób.

Żona pomogła mu spakować rzeczy, które nie mieściły się w jedynej walizce, jaka była w domu. Znalazła duży, mocny karton i tam umieściła resztę. Obudziła małą, żeby pożegnała się z ojcem. Rozwód czy choćby zażądanie alimentów wydawały jej się równie abstrakcyjne jak prowadzenie samochodu. Równie dobrze można się przecież przemieszczać autobusem. Wystarczało jej życie, które dotąd wiodła, inne byłoby zbyt skomplikowane.

Tak więc została sama z córką, bez kogokolwiek kto by wykopał ziemniaki.

Przyjęła ten trudny zwrot losu bez szemrania. Wówczas nie miała jeszcze trzydziestu lat, a że grzywa jej włosów sięgająca aż do pasa miała w sobie coś prymitywnego i zuchwałego, znalazła to miejsce „kelnerki” na warunkach, które jej objaśniono. Kazała je sobie powtórzyć i zaakceptowała skinieniem głowy po przerwie trwającej zaledwie ułamek sekundy, zanim w jej świadomości nie uformowało się doskonale gładkie i krągłe jądro, doskonale jednolite jądro pierwszego „Do usług psze pana” w jej nowej karierze.

Być może właśnie w tym miejscu należałoby zawiesić tę historię, która oczywiście nie jest żadną historią i nigdy nią nie będzie, ponieważ aż za dobrze się domyślamy, że Pomme i jej matka należą do tych istot, którym nic się nie zdarza, chyba że coś lub ktoś, co jest raczej nieprawdopodobne, przerwie ich skryte milczenie.

Wydarzenia, które ich dotyczą, nie są w stanie ich zranić - i w tym tkwi rodzaj ich siły - one prześlizgują się po nich. Podobne są do krzewów, które znajdują potrzebną do życia ziemię w szczelinie muru, w szparze między brukiem; i to właśnie z tych swoich roślinnych właściwości czerpią tę swoją paradoksalną siłę i energię.

Los tego rodzaju istot toczy się w zależności od nawrotów przedłużającej się nieuwagi. Z tego składa się ich życie. Nie próbują nawet uchylać się od ciosów.

Można by pomyśleć, że ich nie czują, co z pewnością nie jest prawdą. Ale cierpią cierpieniem, które nie rozpoznaje samego siebie i które nigdy na sobie nie poprzestaje.

Przypadek mógłby zesłać na nie gromy, nękać je całym ciągiem banalnych katastrof, a straszliwie uparta wędrowka Pomme i jej matki trwałaby nadal, kaleka, samotna, milcząca i wreszcie fascynująca.

Tak więc Pomme i jej matka nie mają własnego miejsca w powieści z jej całą sofistyką, psychologią i domniemaną głębią, tak jak nie potrafią przeniknąć na powierzchnię swych własnych radości lub cierpień, które przerastają je nieskończenie, a których głębia jest dla nich niezmierna. Są jak dwa małe robaczki uciekające na kartkach książki, która o nich opowiada. To papier jest ważny albo kiełkujące kartofle, albo drzazgi w podłodze pokoiku w mieście! Nic więcej.

2

Razem z matką mieszkają teraz na przedmieściach Paryża, gdzieś w okolicy Suresnes albo Asnieres. W dużym budynku, piętro D, drzwi F.

Nazywa się to Osiedle Kosmonautów. Widzimy Pomme i jej matkę, jak siedzą obok siebie na kanapie z czarnego skaju. Są nieruchome. Mają takie samo białe spojrzenie skierowane w tę samą stronę, mogłoby to być spojrzenie obiektywu aparatu fotograficznego. To ekran telewizyjny daje szarą poświatę, w której świetle kontury twarzy zacierają się jak na starych fotografiach w albumie. W tej właśnie chwili Pomme czyta jakiś magazyn, leżąc na brzuchu na swoim łóżku.

Jej głowa i magazyn są lekko przesunięte w stosunku do reszty ciała w stronę okna i światła zeń płynącego, które wspomaga nocna lampka, a to z powodu wielkiej ściany znajdującej się nie opodal okna.

Pomme kartkuje raczej, niż czyta. Nagle Giordano wziął ją w ramiona. Chciałaby zaprotestować, ale doświadcza zupełnie nowego, nie znanego jej dotąd i przyjemnego uczucia, które targa nią aż do najintymniejszych włókien jej jestestwa. Patrzą na siebie i w tej właśnie chwili coś rodzi się między nimi. Giordano czuje, jak jakieś fluidy przechodzą z jednego na drugie... Gwiazdny płaszcz jaśnieje nad nimi, podczas gdy Z wolna zbliżają się do siebie.

Pomme i jej matka od roku już mieszkały w tym dwupokojowym mieszkaniu, gdzie rozpoczęły nowe życie z kwiatami w wazonie i mydelniczką w łazience.

Matka Pomme bardzo się zmieniła. Nosiła teraz biały nylonowy fartuch - kiedy robiła porządki albo kiedy nic nie robiła, albo kiedy sprzedawała jajka.

Sprzedawała także krówki, masło na wagę i w kostkach, ser. Brała wielki nóż o podwójnym trzonku, opierała ostrze na kręgu grujera, zgodnie z życzeniem klientów, i upewniała się jeszcze: „Może tak zostać czy więcej?”

Dzięki jakiemu zbiegowi okoliczności była teraz sprzedawczynią nabiału, ona, „dama” z baru i pokoju nad barem? Jeden Bóg mógłby to wiedzieć, gdyby był autorem tego wszystkiego. Więc nie zadawajcie sobie tego pytania!

Matka Pomme wstawiała bardzo wcześnie rano. Pomagała właścicielowi rozładowywać samochód dostawczy. Ustawiała na chodniku stopy pustych skrzynek z myślą o zamiataczach. Następnie obejmowała wartę na straganie, z biustem wynurzającym się spomiędzy dwóch kręgów ementalera. Wychodziła późno wieczorem, schylając się nisko pod metalową zasłoną, którą właściciel zaciągał do połowy na chwilę przed zamknięciem (kiedy klienci wślizgiwali się zwabieni tą ostatnią szczeliną światła, którą rozszerzali do ogromnych rozmiarów, sprzedawczyni widziała, jak umyka chwila, w której mogła jeszcze złapać swój autobus; a wszystko z powodu jednej kostki masła lub pół litra mleka).

W mieście matka Pomme wyglądała trochę na wieśniaczkę, tak jak na wsi, jeśli można tak powiedzieć, była „miastowa”. Jak zawsze bardzo schludna, ale już bez kokieterii. Nosła buty na płaskim obcasie i nigdy więcej nie bolały jej nogi.

Mając czterdziestkę odzyskała sposób bycia młodych wieśniaczek o policzkach pełnych wdzięku, nawet gdy jest gorąco. Ale ta fizyczna metamorfoza nie była najważniejsza. W każdym razie nie najbardziej zadziwiająca, tak silne było bowiem pragnienie tej kobiety, by pozbyć się także starych łachów damy lekkich obyczajów i by ukazać pokrytą zimą leciutkim trądzikiem skórę sprzedawczyni nabiału.

Prawdziwą metamorfozą była ta, która dokonała się w domu, w dwóch izbach z polakierowanym parkietem, nowymi meblami, kuchnią, gdzie panował ład jak w pudełku.

Wieczorem kanapa ze skaju stawała się wielkim łóżem z białą lub błękitną pościelą. Ze wzrokiem zanurzonym w kremowy sufit sprzedawczyni i jej mała usypiały pod kołdrami z różowej wełny.

W porównaniu z poprzednim domem, z ogrodem usianym potłuczonymi butelkami, panował tu teraz dostatek, choć w sposób widoczny określany przez instytucję kredytów: stół, krzesła, kredens, rozkładana kanapa, dwa fotele z czarnego skaju były w tym samym stylu, z tej samej partii towaru, który można było spłacać w osiemnastu ratach po 240 franków.

Nowa jakość życia zaznaczyła się również w odżywianiu. Przykładały się do posiłków. Gotowały. Miały elektryczną kuchenkę z rożnem. To coś samo się zatrzymywało, kiedy jedzenie było już gotowe, i dzwoniło jak budzik. Pomme nagle stała się łakoma. Po raz pierwszy pojawiło się w niej coś, co miało pozór namiętności, ale namiętności bardzo dyskretnej, której powściągliwe gesty przywodziły na myśl umiarkowanie i nieśmiałość, jaką ta dziewczyna, która nie pozbyła się jeszcze krągłości i rumieńców dzieciństwa, objawiała w

innych sprawach. Pomme uwielbiała słodczyce, nadziewane cukierki, czekoladę. Ale z podobnym apetytem mogła schrupać udziec z fasolką. Z pięknego porcelanowego talerza. Sosjerka była z aluminium.

Co rano jechała pociągiem. Wsiadała na Saint-Lazare i nie patrząc na wystawy, szła truchcikiem aż do salonu fryzjerskiego. Wkładała różowy fartuch. Oglądała się jednym okiem w lustrze. Poprawiała leciutki makijaż.

Właśnie o tej porze rozproszone ekspedientki, maszynistki albo fryzjerki nadawały barwy brunatnym pomyjom tłumom na chodnikach. Ale w Pomme było coś więcej niż tylko ten wdzięk. Być może był to rodzaj urody, mimo spódniczki do połowy uda i przyciasnego sweterka.

To wszystko czyniło z niej osobę bardzo niejednoznaczną. Pośród perfum, flakonów, pozbawionych czaru sztuczek salonu fryzjerskiego jej prostota stawała się tajemnicza. Urok Pomme polegał na tym, że była inna. Wyjątkiem był tylko stereotypowy erotyzm małego wałeczka między spódniczką a sweterkiem, jednakże ten rodzaj wdzięku narzucał pewien dystans. Przyciągał, ale zarazem trzymał w ryzach. Przede wszystkim przyciągał, nie pozwalając jednak, by tak naprawdę można było zdać sobie z tego sprawę. Pomme nie była kokietką, nawet w spojrzeniu. Zamiast tego można by mówić o bezwstydnym, gdybyśmy potrafili odczytać to, co nie zostało napisane. Bowiem ta dziewiczość (ta „dziewicza karta”), a także owa prawdziwa nagość twarzy, która niczego nie wyrażała (żadnej ukrytej myśli), nie mogły istnieć bez nieskromności i bezwstydu Zuzanny czy Zuzy zaskoczonej w kąpielni. Bezwstydu spotęgowanego, jeśli można tak rzec, przez to, że nie było w nim premedytacji, że nie był przeznaczony dla czyichkolwiek oczu.

Jej usta zdobił wyłącznie kolor ich własnej łagodnej mięsistości; jej powieki przymykały się niekiedy, lecz wyłącznie z powodu czystego smaku istnienia. Nawet cienia prowokacji w tym, tak głębokim, spokoju. Ale Pomme nie musiała prowokować, nie musiała wystawiać się na pokaz. W naturalny sposób przyciągała uwagę, jak wszystkie dziewczęta w tym wieku, których ciało jeszcze nie dostosowało się do wszystkich nowych ewentualności.

Pomme zdawała się mieć dar przedłużania w nieskończoność tego cudownego momentu życia, kiedy nawet najbrzydsze smarkule promieniają jakby przenikającym je pożądaniem, które w sobie rozpoznają i którego żadna cicha zmowa nie potrafi ograniczyć.

Ten brak „wykończenia”, utrwalony, zachowany na stałe, stawał się rodzajem niepewnego spełnienia, irytującym przekroczeniem zwykłego porządku istnienia.

Czyżby nie miała adoratorów, jakby tego wymagały jej zbliżające się osiemnaste urodziny albo chociażby jej zmysłowość właśnie, która sprawiała, że Pomme nabierała lekkiego blasku pod wpływem spojrzenia?

Pomme nie powiedziała by nie, gdyby wytłumaczono jej, na czym polega zawrót głowy.

Moc czyjegoś spojrzenia uświadomiłaby jej, czego sama oczekuje. Poddałaby się nie mężczyźnie, którego wiek i sposób bycia nie miałyby znaczenia, poddałaby się tej zrodzonej w niej samej, nowej konieczności.

Ale oto była już po drugiej stronie ulicy: szła trochę za szybko, by komukolwiek mógł przyjść do głowy pomysł, by podążyć za nią. Rano opuściła łóżko ogarnięta jeszcze łagodną sennością jak uściskiem, z ciałem przepelnionym nostalgią, której dzień, tłum, a nawet uliczny zamęt nie pozwalał opaść. Przewycięzała opór śniegu jeszcze nietkniętego po nocy. Nikt z zewnątrz nie dostrzegał nawet najmniejszej skazy w tej szczęśliwej melancholii, która oznaczała pełnię. Ten, kto się jej przypatrywał, nie mógł przecież wiedzieć, że to właśnie on i jego własny wzrok był głównym, choć brakującym jeszcze ogniwem tego doskonałego, nienaruszonego zamknięcia. To dlatego, że wysiadał zwykle wcześniej albo wsiadał zbyt późno; zresztą Pomme niezbyt często jeździła metrem, właściwie tylko wtedy, gdy padało, i tylko między stacjami Saint-Lazare i Opera.

Pomme nie umiała ani układać włosów, ani strzyc, ani nakładać farby. Zajmowała się przede wszystkim zbieraniem ręczników. Czyściła przybory. Zmiała włosy z podłogi. Układała w stosy porzrucane „Jours de France”. Wycierała czubek nosa chusteczką w kratę. Myła także włosy, masując skórę głowy klientki z właściwą jej wzruszającą starannością. Byłaby zdolna do jeszcze większej staranności.

Wystarczyłoby ją o to jedynie poprosić.

Klientkami były panie w pewnym wieku - bogate albo bardzo gadatliwe. Zazwyczaj jedno i drugie. Stare, nie znoszące sprzeciwu kwoki! Wydawało się, że Pomme nie zwraca uwagi ani na okulary z brylantami, ani na usta w kolorze lawendy pod lazurem rzadkiego uwłosienia, ani na palce przyozdobione drogimi kamieniami i brunatnymi plamami, czy też torby z krokodyla, tak bez reszty była pochłonięta sprawdzaniem wierzchem dłoni wody, by nie była ani zbyt gorąca, ani zbyt chłodna dla włosów, które po zamoczeniu wyglądały jak wszystkie inne włosy.

Łagodnie przechylała głowy w hydraulicznym skłonie wielkich, kołyszących się foteli. Piersi klientek okrywał biały ręcznik, a mokre, posklejane mydłem włosy udawały falujące algi u brzegów szerokich misek z białej emalii.

Spojrzenie wielkich, martwych oczu pod umalowanymi powiekami zacierało się, usta nabiegały krwią u nasady nosa i teraz również te obrócone do góry nogami twarze nabierały cech roślinnych, stawały się wielkimi, wyblakłymi i przezroczystymi, z wyjątkiem kilku żyłek, liśćmi, które opadły z drzewa i płyną z biegiem rzeki.

Te jakby rozpostarte na powierzchni wody twarze były dziwne, ale wcale nie przerażające, te stare Ofelie, które na chwilę utraciły możliwość dominacji i które stawały się nawet obiektem ewentualnej pogardy pod uległym, pozbawionym nieżyczliwości spojrzeniem Pomme. A Pomme mówiła sobie, że jej własna brzydota nigdy nie będzie brzydotą tego rodzaju. Nigdy tak niespodziewaną. Gdyby Pomme była zdolna do buntowniczych myśli, gdyby przerażającą brutalność starych krwiopijczyń (ten suchy trzask zamka, z jakim otwierały i zamykały torebki) odczuwała z ledwie uświadamianą nienawiścią, nie tylko w momencie wręczania napiwku, być może znalazłaby jeszcze więcej przyjemności w przyglądaniu się im, kiedy były tak doskonale podporządkowane, tak doskonale pozbawione znaczenia pod kaskiem suszarki, z głową unieruchomioną i, rzecz by można, pozbawioną życia. Te głowy, kiedy indziej tak butne i tak groźne, teraz jak zatknięte na ostrzu dzidy.

Zresztą Pomme, która czasami długo się im przypatrywała, nie zdawała sobie sprawy, że znajdowała w tym przyjemność.

Ta druga nazywała się Marylene. (Załóżmy).

Mogłaby w swojej łoży w Operze szeptać z za wachlarza dowcipy, z lornetką z macicy perłowej w rękę. Miałaby ciemne włosy rozdzielone pośrodku przedziałkiem.

Pochylałaby kość słoniową swoich nagich ramion ku mężczyźnie w białym żabocie, pieniącym się na czarnym fraku, odsłaniając nasadę piersi w geście pieszczotliwej uwagi, złagodzoną jednak przez elegancką skromność wachlarza przy ustach.

Tak było na filmach, które oglądała. W rzeczywistości nie udawało się jej powstrzymać niespodziewanych, hałaśliwych wybuchów śmiechu, które sprawiały, że jej włosy wydawały się nagle wściekle rude, a usta zdecydowanie zbyt duże.

Mimo to Marylene była piękną dziewczyną. Wysoką, o smukłym, sprężystym i ruchliwym tyłeczku. W salonie przesuwiała się wężowym ruchem od jednej klientki do drugiej: to był las, dżungla pochłaniająca ruiny Angkoru.

Jednakże artysta nie powinien zapomnieć o tym, co w tej dzikiej, nieodpartej i agresywnej urodzie było godne pożałowania. I Marylene musiała w końcu zdać sobie sprawę, jak bardzo nietrwałe jest owo bycie piękną kobietą, być może dlatego, że nie ma się nic innego do powiedzenia. Tak więc można było w niej dostrzec wahanie między romantycznością, dystynkcją, wzniosłością nawet a nieskrępowaną wulgarnością śmiechu

grzechoczącego jak stos talerzy w kuble z wodą. Jakby w ostatniej chwili Marylene zadawała sobie pytanie, czy przyciszenie głosu, umiar gestu nie jest w gruncie rzeczy złą lokatą; a w każdym razie, czy nie byłoby to zbyt głupie. Postępowała więc także w sposób narwany i hałaśliwy. To rozwiązanie nie wydawało się najszcześniejsze, ale być może bardziej odpowiadało głębokiej naturze Marylene. Chyba że od razu założymy, iż Marylene nie miała „głębokiej natury”.

Na razie jest ruda, ma 30 lat, a w torebce zapalniczkę od Cartiera. Przedtem była blondynką. Kiedy była blondynką, nazywała się Marlenę. To także do niej nieźle pasowało. Lubiała suknie z lamy.

Marylene mieszkała w studio. (XVI-ta dzielnica, blisko lasu. Lux. Studio, 30 m², 6 p. - wychodzące na ulicę winda, łazienka, kuchnia). Czy można ją sobie wyobrazić w willi w Saint-Maur? Wstęp do budynku jest formalnie zakazany agentom, kwestującym i komiwojażerom.

Dwie noce w tygodniu Marylene spędzała z mężczyzną około pięćdziesiątki, o posrebrzonych skroniach, kwadratowym podbródku i przenikliwym spojrzeniu.

Zresztą (dlaczego „zresztą”?) ten mężczyzna kierował agencją reklamową.

Wcielenie energicznej przedsiębiorczości. Tenis w niedzielę rano.

Marylene obdarzała Pomme czymś w rodzaju przyjaźni. Dobrze wyczuwała, że Pomme nigdy nie odważyłaby się jej szkodzić ani krytykować jej bioder czy piersi. I przyjaźń Marylene stała się łagodnie protekcyjna. Ale jednocześnie Pomme stanowiła dla niej zagadkę. Nie poruszała się w tych samych co Marylene obszarach istnienia. I Marylene chciała trzymać w rękę tę zagadkę, ponieważ nie potrafiła jej zrozumieć. Wszędzie tam, gdzie dostrzegała niewinność, tam gdzie ona naprawdę się znajdowała, podobna do niespodziewanego szemrania źródła w tłumach metra, mogła znajdować się ukryta siła, nieznośnie Marylene obca.

Oczywiście Marylene nie zdobyłaby się na to, by określić rodzaj rozdrażnienia, jakie ją ogarniało w zetknięciu z tą zagadką. Musiałaby się przyznać, że usiłowała ją unicestwić i że mogła tego dopiąć, jedynie niszcząc to, co było w

Pomme naprawdę innego.

To właśnie zresztą starała się zrobić. Z początku powiedziała do Pomme:

- Nie możesz tak się ubierać i nie możesz chodzić bez makijażu.

Pomme nauczyła się robić makijaż; ale pozostała równie świeża, mimo grudek podkładu, którego nie potrafiła nakładać. Marylene czuła się tym niemalże urażona.

Marylene zaprosiła Pomme do studia. Mówiły sobie na ty. Pomme wjechała windą, do której dostawcom wstęp był zabroniony. Piła whisky. Nie bardzo lubiła whisky.

Wyszła tuż przed przyjściem przyjaciela Marylene. Była to jedna z tych par, które jadają w restauracji i kochają się po powrocie ze spektaklu.

Pomme nigdy nie widziała przyjaciela Marylene, a ta nigdy nie powiedziała o

Pomme swojemu przyjacielowi. To było naturalne. Marylene kazała Pomme wychodzić przed przyjściem przyjaciela, tak jak się poprawia fryzurę na chwilę przed wyjściem. (Za pozwoleniem! Czyżby! A może jednak Marylene obawiała się trochę pokazać swemu specjalście od reklamy tę nieokrzesaną, ale równocześnie dość miłą małą? W każdym razie Pomme stanowiła zbyt wielkie przeciwieństwo tego, czym chciała być Marylene w oczach innych. To są powody, nie? I musiały być jeszcze inne!)

Pomme skończyła osiemnaście lat w maju. Zaprosiła Marylene. Jadły łopatkę baranią.

Marylene była bardzo miła dla matki Pomme, z którą spotkała się po raz pierwszy.

Ubrała się skromniej niż zazwyczaj, wiedząc, że idzie do skromnych ludzi.

Marylene nie była pozbawiona delikatności, tyle że jej delikatność była przesadna. Jej zachowanie, tak jak i strój, wskazywały, że przyszła na kolację do ludzi ubogich i stara się, by nie popełnić nietaktu. Matka Pomme zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Ale Pomme była nieskończenie wdzięczna Marylene, choć z tą wdzięcznością mieszało się coraz żywsze uczucie wstydu. Marylene zapewniała, że wszystko jest bardzo dobre, i za każdym razem, gdy podawały jej półmisek lub nalewały czegoś do picia, „dziękowała” unizienie. „Do usług psze pani”, odpowiadała matka Pomme, a Pomme wolałaby, by jej matka była inna. Właściwie nie wiedząc dlaczego, czuła się winna.

Przez dłuższą chwilę Pomme była pochłonięta tą myślą. Sprawiała wrażenie, że jest zapatrzona w świeczki wetknięte w tort leżący na talerzu, na którym została połowa porcji Marylene (która, jak się wydawało, nie lubiła słodczy). W rzeczywistości Pomme niczemu się nie przyglądała. Czuła, powiedzmy - zubożenie i melancholię. Obojętność, na przykład, wobec części tortu, który został na talerzu. Nie miała ochoty ruszyć się; była bardzo zmęczona; jej członki były zwiotczałe i ciężkie, dwie kotwice zwiślały jej u ramion. Osiadła na mieliźnie słodko-gorzkiej pokusy potężnego wstrętu do samej siebie.

Ponieważ było ładnie, po południu Marylene zabrała je do Lasku Bulońskiego.

Poszły nad jeziorka. Pomme przez cały czas nie przestawała rozmyślać, sama zbyt nie wiedząc nad czym. Matka specjalnie się nie odzywała, trochę ze strachu, by nie okazać się nudną. W pewnej chwili powiedziała:

- Usiądź sobie. Pospacerujcie same. Zabierzcie mnie wracając.

Mimo to wszystkie razem poszły popływać łódką. Zapłaciły dwadzieścia franków kaucji plus napiwek dla poczciwca, który podał im rękę pomagając wejść do łódki.

Miały trudności z odbiciem się od brzegu; poczciwiec odepchnął łódź przy pomocy bosaka.

Marylene dobrze się bawiła dzięki mężczyznom z innych łódek, którzy strasząc, że je staranują, ochlapywali je potężnie wodą. Matka Pomme wykrzykiwała, że je wyróca, i zapierała się rękami i pośladkami o drewnianą ławkę. Pomme wiosłowała; wiosłowała z zapalem jak dziecko, odzyskując stopniowo, z każdym pchnięciem wiosła, wewnętrzny ład i spokój.

W jakiś czas potem Marylene i mężczyzna o kwadratowym podbródku musieli się rozstać. „Trzeba to było zrobić znacznie wcześniej”, powiedziała Marylene w charakterze wyjaśnienia. Dodała, że straciła pięć najpiękniejszych lat swojego życia (poniedziałki i środy) z chamem, ale że to głupstwo, ponieważ wszyscy mężczyźni są tacy sami. Dowodziła tym pewnej inteligencji, swojej, nie mężczyzn.

Świetnie! Oczywiście gardziła nimi wszystkimi, tymi facetami, samcami, typami od reklamy! I równocześnie samochodami rodzaju Alfa Romeo, restauracjami z cygańską muzyką, tarasem u Fouqueta i koszulami od Lanvina. Wtajemniczyła Pomme w swoją nową koncepcję dotyczącą „tych spraw”. Pomme słuchała nic nie mówiąc: nic nie mogło przeszkodzić młodemu adwokatowi o imieniu Giordano, który brał w swe czułe i potężne ramiona sekretarkę Linę. Ich usta łączyły się w niewinnym pocałunku pełnym nieskończonych obietnic. Gwiazdny płaszcz jaśniał blaskiem etc...

W czerwcu Pomme stała się przyjaciółką od serca Marylene. Spędzała z nią prawie wszystkie wieczory, jadały razem kolacyjki w jej mieszkanku. Pomme nie musiała się już wycofywać, by zrobić miejsce mężczyźnie o przenikliwym spojrzeniu.

Wiele razy Pomme nocowała w wielkim łożu obok Marylene. Pilnowała, by rano wcześniej wstać i przygotować śniadanie. Na brodzie Marylene zostawały ślady konfitury z pomarańczy. Brały razem prysznic. Chlapały gorącą wodą po całym mieszkaniu. Wycierały sobie plecy. Marylene wyciskała pocałunek na szyi Pomme i mówiła, że mężczyźni to świnie.

Matka Pomme była bardzo zadowolona z tej znajomości. Prawiła Pomme napuszone komplementy, gratulując przyjaźni z Marylene. Pomme była trochę znudzona tym poparciem, tymi oznakami aprobaty. Bez wątpienia Marylene była w porządku, w każdym razie była lepsza od Pomme, ale Pomme nie miała ochoty być taka jak Marylene, nawet gdyby pewnego dnia uwierzyła, że jest do tego zdolna. W szczerzej duszy Pomme istniały pokłady rozsądku, jakkolwiek nieuświadomianego, które wyrażały się w wielkiej umiejętności godzenia się.

Była z tych pokornych pomiędzy pokornymi, którzy cieszą się rzadkim szczęściem całkowitej akceptacji siebie. Jeśli nie liczyć tej krótkiej chwili niezadowolenia z siebie podczas urodzinowego obiadu, Pomme nigdy jeszcze nie zaznała przejmującego niepokoju, by stać się inną. Nie pragnęła posiadać wdzięków Marylene. Po prostu podziwiała je. Zresztą to uwielbienie nie było być może takie bezgraniczne, Pomme osiągnęła ten stopień naiwności, który zmusza czasami do patrzenia na rzeczy i ludzi z wielką ostrożnością.

Marylene była teraz zupełnie wolna. Musiała to dobrze wykorzystać. Starła się ukryć swoje rozczarowanie, maskując je najbardziej pociągającymi kolorami przyjaźni. Miała Pomme. Odnalazła też przypadkiem jedną ze swoich starych przyjaciółek. Przyjaciółka wyszła za mąż, a jej mąż kupił właśnie dom na wsi niedaleko Paryża. „Musisz zobaczyć ten dom”, powiedziała oczywiście przyjaciółka.

Marylene i Pomme pojechały tam spędzić święto 14 lipca.

Była to stara farma, którą właśnie skończono remontować. Był tam piękny belkowany sufit. Przerobiono kominek, ponieważ był nie dość wiejski, a zwykłe płytki podłogowe zastąpiono prowansalskimi cegielkami. Wszystko musiało być bez zarzutu.

Pomme, Marylene i jej przyjaciółka spędzały popołudnia na leżakach, które przestawiały w zależności od tego, z której strony promienie słońca padały na trawnik, gdzie właśnie zaczynała wschodzić trawa. W tym czasie mąż grał w tenisa w sąsiedniej posiadłości.

Miał syna z pierwszego małżeństwa, brzydkiego czternastoletniego wyrostka, który starał się ze wszystkich sił zburzyć starą szopę, ponieważ „psuła widok”, jak mówił jego ojciec.

Potomek miał paskudną, puciołowatą twarz noworodka, grube wargi, pryszczate policzki i lekko spłaszczony nos. Był bardzo masywny jak na swój wiek (jego nagi tors o prostackiej i zaróżowionej od poparzeń słonecznych skórze wydawał się wyskakiwać ze spodni opinających biodra. Pomme wolałaby, żeby włożył koszulę).

Przede wszystkim jednak miał fałszywe spojrzenie. Z uciechą obracał w dłoniach ciężki młot i za każdym razem, kiedy odpadał kawałek muru, wydobywał z siebie dzikie wycie radości. Marylene nazywała go Tarzanem i przekomarzała się z nim. Z upodobaniem traktowała go jak dziecko (był to jeden z jej sposobów prowokowania, nie umiała się od niego powstrzymać). Ale on patrzył przede wszystkim na Pomme.

Pomme nie lubiła ani tego chłopca, ani tych jego trochę szklanych spojrzeń. Nie wiedziała, jak się od nich uwolnić. W każdym razie nie chciała się rozbiierać.

Marylene nalegała:

- Zapewniam cię, że nikt nie może nas tu zobaczyć.

(Ona i jej przyjaciółka były zupełnie nagie. Jeśli nie liczyć papierowego trójkąta na delikatnej skórze nosa). Ale Pomme uważała, że chłopiec z młotem, który rozbija mury szopy, nie jest „nikim”. Zgodziła się jedynie na podwinięcie rękawów bluzki i odpięcie dwóch pierwszych guzików pod szyją.

Pierwszego dnia dyskutowano przede wszystkim o toczących się pracach. Marylene tak doskonale wczuła się w kłopoty swojej przyjaciółki, że w wyobraźni dyrygowała już ekipami murarzy, malarzy i ogrodników. Przekształcała nawet okoliczny krajobraz z równą łatwością, jak makijaż czy kolor włosów: należałoby zrównać z ziemią położoną w dole farmę, która psuła łagodne nachylenie wzgórza; następnie trzeba by zasadzić las albo przynajmniej lasek, by zasłonić linię kolejową z jej siecią trakcyjną przecinającą horyzont.

Przyjaciółka Marylene słuchała tego wszystkiego, pozwalała jej mówić, ale dobrze wiedziała, kto tu jest właścicielką.

Następnego dnia było jeszcze upalniej. Pomme znalazła cień w pewnej odległości od obu kobiet. Przyjaciółka Marylene miała raczej przy ciężkie piersi. Podniosła się, by pójść do kuchni po sok owocowy. Ramiona odchyliła do tyłu, stawiała małe kroczki, ale mimo to wszystko w niej drgało - piersi, pośladki i wreszcie górna partia ud. Marylene była tylko lokatorką w swoim studio, ale za to jej nagość była wspaniała, królewska: piersi obfite, ale jędrne. Marylene była okazała, wschodnia, przyjemnie posągowa, powleczona warstwą olejku do opalania.

Pomme nudziła się trochę na zwilgotniałym płótnie swojego leżaka. Słuchała jednym uchem tych dwóch, które paplały i parskały śmiechem. Widziała zza rzęs, jak leżą na trawniku. Potem zdrzemnęła się trochę w swojej małej, cienistej alkwie. Śmiechy Marylene docierały do niej jeszcze przez chwilę jak grzechotanie kostek lodu, które zderzają się o siebie w szklance. Nagle zbudził ją wybuch śmiechu hałaśliwszy niż inne. Marylene i jej przyjaciółka od dobrej chwili rozmawiały bardzo głośno. Przerzywały jedna drugiej, a potem nagle cichły.

Marylene nacierała przyjaciółkę kremem do opalania. Pomme przyglądała się im być może z pewnym zaciekawieniem, którego jednak nie potrafiłaby zwerbalizować.

Potem Marylene położyła się na plecach na samej trawie. Zamiast śmiechów z trawnika dały się słyszeć szepty i Pomme nie mogła się powstrzymać, by nie nadstawić ucha. Przyjaciółki opowiadały sobie coraz to śmielsze historie. Pomme nigdy nie prowadziła takiej rozmowy, ale nie nudziło jej słuchanie.

Czuła się znużona. Mówiła sobie, że to z powodu uPału; patrzyła na kropelki potu perlące się na dekolcie, w miejscu, gdzie odpięła bluzkę. Miała nawet ochotę rozebrać się i

poczuć, jak ciepłe powietrze wślizguje się między jej nogi. Ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Była zafascynowana słońcem i rozwiązała rozmową dwóch kobiet, to wszystko unieruchamiało ją, niczym dłoń wspierająca się o jej brzuch.

Człowiek, o którym na koniec opowiadała przyjaciółka Marylene, musiał być jej? h nkiem powiedziała sobie Pomme. Młoda kobieta przerwała”. Mąż wołał do nich od furtyki:

Uwaga, kobiety! To ja! Ale nie jestem sam! Pomme odwróciła się i ujrzała czterech mężczyzn w białych szortach, o sportowym, swobodnym wyglądzie, nadciągających szparkim krokiem. Marylene i jej przyjaciółka ubierały się z wielką afektacją.

Kiedy tylko nie był zajęty burzeniem szopy, chłopiec o fałszywym wejrzeniu zaszywał się w żywopłocie okalającym osiadłość. Albo czule zadreślał młodego owczarka niemieckiego, przyszłego psa-stróża. Zawsze zaczynało się od niewinnego poklepywania psa, który robił wszystko, co mógłby ugryźć - A kończyło się na dwóch czy trzech silnych kopniakach w brzuch zwierzęcia. Bywało, że chłopak czytał komiksy z okładek straszły indywidua uzbrojone po zęby, w hełmach, z przerażającymi grymasami na twarzach, uchwycone przez rysownika w momencie jakiejś krwawej potyczki. Poniewierały się te komiksy wszędzie, po całym domu i trawniku Pomme wertowała je z zaciekawieniem. Bardzo ją bawiły dziwaczne grymasy, które tam widziała.

Chłopiec zauważył to zainteresowanie, ponieważ nie przestawał szpiegować dziewczyny, która nie chciała się rozebrać. Przykucnął na trawie obok Pomme.

Prześlizgując się wzrokiem po jej biuście powiedział, że jeśli tylko zechce, może jej pokazać całą kolekcję komiksów. Pomme trochę sobie wyrzucała, że ten umięśniony bobas wywołuje w niej coś na kształt przerażenia. Poszła więc za nim do jego pokoju.

Na ścianach i na podłodze znajdowała się tam niepokojąca różnorodność tnących i miażdżących przedmiotów (jak potem mówiono), a także broni. Na etażerze dostrzegła małe wypchane zwierzątka. Chłopiec szczyił się, że własnoręcznie położył je trupem.

Po kilku minutach Pomme uznała, że czas zakończyć wizytę w tej trupiarni, ale chłopak najwidoczniej miał zamiar przeprowadzić na niej kolejną sekcję zwłok. W każdym razie jego różowy, wyprężony tors znalazł się pomiędzy Pomme a drzwiami.

Sytuacja stawała się delikatna. Na szczęście w tym momencie weszła Marylene.

- Co wy tu oboje knujecie? - zapytała głośno. A potem cicho szepnęła do Pomme:

- Nie widzisz? On chce ciebie dosiąść!

Pomme zbiegła po schodach, najszybciej jak mogła, za nią Marylene i chłopak, tym razem cały w pasach.

Wieczorem w pokoju Marylene śmiejąc się powiedziała do Pomme:

- A więc zrobiłaś pierwszą konkiętę!

Pomme odpowiedziała, że nigdy więcej nie przyjedzie już do tego domu.

Pomme poszła kupić lody. Wracała stawiając szybkie, precyzyjne kroczki z powodu kremu ściekającego jej już po kciuku. Od pięciu minut w salonie fryzjerskim trwał bankiet. Była kasjerka; był Jean-Pierre (stare krokodylice dobijały się tydzień wcześniej, żeby tylko Jean-Pierre je uczesał). Była oczywiście Marylene i Pomme.

Jean-Pierre zapomniał o jakiejś babie siedzącej pod suszarką w kącie zakładu.

Jeszcze trochę się ruszała. Inne były już pewnie na Wyspach Kanaryjskich albo w samolocie, który właśnie tam zmierzał. Z wyjątkiem tych, które popłynęły tam statkiem.

Pomme zmiotła okruchy po waflach i włosy, których nie zabrały do samolotu.

Marylene siedziała w jednym z ruchomych foteli i malowała sobie paznokcie. Jean-Pierre czytał „L'Equipe” i pogwizdywał. Kasjerka, która była bardzo gruba i musiała pocić się już od najwcześniejszego dzieciństwa, czytała horoskopy w

„Jours de France”. Było tak gorąco, że nawet nie próbowali jej uciszyć.

- Spod jakiego znaku jesteś?

- Spod Byka - odpowiedziała Pomme, machinalnie przesuwając szczotką wzdłuż listew podłogowych.

- Piszą, że powinnaś uważać na wagę.

- To prawda. Jesz za dużo ciastek - dorzuciła Marylene. W tym samym czasie chłopiec o twarzy niemowlaka, którego na tydzień pozostawiono samego w domku na wsi, namiętnie rozmyślał o dwóch odpiętych guzikach w bluzce Pomme. W Paryżu, w windzie, druga matka chłopca (ta, którą nazywa się „macochą”) spieszyła się, by wciągnąć rajstopy

(początkowo była zdecydowana ich nie wkładać, tak bardzo się pociła).

W Suresnes (chyba że to było w Asnieres) matka Pomme zakomunikowała właścicielowi, że camembert nie wytrzyma do wieczora. Nie można też było być pewnym sera brie. Ani pont-l'evéque (Najjaśniejszy panie, toż to rewolucja!).

Oceniała straty, jakie wkrótce poniosą, z uczuciem bezsilności, ale także z poczuciem winy: nawet jeśli nic nie mogła na to poradzić, nie chciała, żeby to wszystko działo się w jej obecności.

W metrze, między stacjami Odeon a Chatelet, wśród stłoczonych ludzi, siedział gruby, apoplektyczny facet w rozpiętej koszuli, z wygniecioną marynarką na kolanach. Przyglądał się w jakiś nieokreślony sposób typowi, który na niego nie patrzył, ponieważ w tej właśnie chwili wkładał całą swoją duszę między rozchylone nogi dziewczyny, która przypatrywała się

innemu facetowi, ciekawa, czy ten w końcu na nią spojrzy. Ten jednak patrzył na apoplektyka, nie widząc go.

Ciało grubasa było dla niego samego kamizelką, rodzajem źle skrojonego ubrania, od którego nie ma ucieczki. Czuł się straszliwie osamotniony z tą swoją tuszą i mimowolną brzydota.

Było w nim coś takiego, jakaś niejasna skłonność, coś, co natarczywie kusilo go, by zniknąć, najpierw ze stacji Saint - Michel, gdzie pociąg właśnie się zatrzymał, a następnie z ulic i z mieszkania, w którym od trzech miesięcy zalegał z komornym. Tymczasem pozostawał na swoim miejscu przytłoczony upałem, skądinąd mniejszym niż gdzie indziej. Zastanawiał się, ile zostało mu jeszcze tygodni życia w charakterze cuchnącego zwieracza, który go wkrótce wydali. A właścicielka mieszkania spuści wodę. Tak więc siedział na swoim miejscu, które za stacją Chatelet przestanie być jego miejscem, ponieważ będzie musiał tam wysiąść, by wrócić do siebie. Ale od trzech miesięcy owo „u siebie” także nie było już jego. A więc został. Powtarzał sobie, że tego dnia niebo o bieli fajansu jest równie bezlitosne dla apoplektyków na zewnątrz, co na stacjach metra.

Grubas mówił sobie, że z nikim nie ma już nic wspólnego. Pewnie wysliznął się w jakimś określonym momencie, przed chwilą, albo już kiedyś dawniej; nie był tego pewny. Widział przedmioty przesuwane się coraz szybciej obok niego - plakaty, budki kierowników stacji. Umykało mu to. Widział, jak przesuwa się ludzie siedzący na stacjach, odczytywał ich nazwy: Strasbourg-Saint-Denis, Barbes-Rochechouart. Wiedział, że po stacji Clignancourt nie będzie już żadnej nazwy.

Jedynie czarna dziura, która być może nigdy się nie skończy.

Jak przez mgłę przypomniał sobie żonę i córeczkę, które opuścił pewnego dnia, nie wiadomo dlaczego. Być może Pomme była jego córką. Być może był nią ktoś inny.

Ale jakie to ma znaczenie? Słowa, nazwy, sens, to wszystko przestało się przed nim przesuwać, „Trigano”, „Banania”, „B. N.?”, „Arthur Martin”, i w gruncie rzeczy było mu to obojętne.

Tymczasem Pomme zamiatała, Marylene malowała sobie paznokcie, Jean-Pierre gwizdał jakąś arię. Albo inaczej: Jean-Pierre malował sobie paznokcie, a kasjerka zamiatała. Marylene czytała wszystkim horoskopy, a Pomme gwizdała arię

Cherubina „Voi che sapete...” Nikt nie myślał o apoplektyku, który wkrótce miał umrzeć.

Nie oddalajmy się jednak od naszego tematu, to znaczy od chwili, w której Neil Armstrong postawił stopę na księżycu.

Marylene ustawiła telewizor na łóżku. Pomme leżała obok niej. Obraz był bardzo zły, ale to nie miało znaczenia: Marylene i Pomme już dawno zasnęły.

Nazajutrz rano, podczas śniadania, Marylene powiedziała:

- Czy naprawdę nie chcesz iść dziś ze mną?

- Do twoich przyjaciół?

- Do naszych przyjaciół - sprostowała Marylene uwodzicielsko (uważała, że jest uwodzicielska). Wiesz, oni teraz lubią cię tak samo jak mnie: uważają, że jesteś bardzo ładna i bardzo zabawna. Powiedzieli mi to wczoraj przez telefon.

- Rozmawiałaś o mnie przez telefon?

Pomme poczuła w piersi przyływ czułości dla Marylene i tej drugiej kobiety, która mówiła o niej przez telefon. Drgnęła nagle raz i drugi, unosząc na fali swojego wzruszenia filiżanki, słoik z konfiturami i dzbanek do herbaty spoczywający na jej brzuchu. Ciężkie cumulonimbusy szczęścia dosięgły jej oczu, napełniając je łzami, podczas gdy Marylene przypatrywała się jej zbita z tropu:

- Co ci jest? Czy powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić?

Ale Pomme pogrążona w kontemplacji swojego sobowtóra, o którym mówiono przez telefon, nie umiała odpowiedzieć. Otworzył się przed nią nieoczekiwany świat, w którym „Pomme” mogła stanowić przedmiot rozmowy. Pokora dziewczyny doznała zawrotu głowy na myśl o własnym imieniu powtarzanym w ten oto sposób gdzieś w przestrzeni; ludzie wokół Pomme stali się zwierciadłami, w których mogła się przeglądać z zaskoczeniem tym większym, im dłużej patrzyła.

I to, co wszyscy inni uważają za normalne, to, że można się o nich niepokoić, dwojąc i trojąc w ten sposób ich istnienie, być może nawet używając do tego słowa pisanego, dla niej było objawieniem. Oczywiście, gdyby kiedykolwiek wcześniej o tym pomyślała, nie dziwiłaby się tak bardzo. Ale ona nigdy o tym nie myślała. Nagle wykrzyknęła:

- Och, Marylene, kocham cię! - zaczerwieniła się pod wpływem tego, co powiedziała.

- Wszystkich was bardzo kocham.

Marylene wyczuła, że to okazja, by się wzruszyć, i zdjęta szlachetnym natchnieniem oświadczyła:

- Jeśli nie chcesz pojechać do naszych przyjaciół, ja także tam nie pojadę.

Zresztą zbliżają się wakacje. Lepiej zostać w Paryżu, nie?

- Tak! - westchnęła Pomme.

- Spędzimy razem dwa dni, a potem wybierzemy jakieś miejsce na wakacje.

W ten oto sposób Pomme dowiedziała się, że Marylene zamierza zabrać ją ze sobą.

Wieczór spędzili w mieszkaniu Marylene. Pomme kupiła pięć ciastek, dwa dla

Marylene i trzy dla siebie. Marylene skusiła się jedynie na ciastko tortowe, które nie spiesząc się napoczęła łyżeczką. Pomme zjadła pozostałe, palcami, jedno za drugim, z pewnego rodzaju czułością, która nie opuszczała jej jeszcze, jak wspomnienie tamtej chwili.

Marylene patrzyła na Pomme z prawdziwym wzruszeniem, ponieważ te ciastka stały się dla niej nagle symbolem krągłości Pomme. Krągłości, które były symbolem różnicy między Pomme i Marylene, na których zasadzała się niemal cała przyjaźń, jaką Marylene miała dla Pomme. Przyjaźń bez niechęci.

Jean-Pierre wysiadał na stacji Reaumur-Sebastopol po całym dniu uprzejmego garbowania skóry rozkapryszonym babom z salonu fryzjerskiego. Albo raczej tam właśnie wydostawał się na powierzchnię, jak to się zwykło robić po opuszczeniu metra, by udać się do siebie na rue du Caire. Mieszkał w dużym pokoju, który był również jego pracownią. Malował tu z wyobraźni zamki albo obrazy o tematyce morskiej. A ponieważ to, co malował, nie przypominało ani zamków, ani morza, by je rozróżnić, pisał u dołu „zamek” albo „tematyka morska”.

Szedł ulicą Saint-Denis, gdzie uliczne dziewczyny robiły mu nieprzyzwoite propozycje. Uprzejmie bełkotał, że innym razem, nie przyspieszał jednak kroku.

Od czasu do czasu spoglądał nawet na te stworzenia i dochodził do wniosku, że na tych swoich wysokich obcasach robią wrażenie starych malutkich, które włożyły na nogi buty swoich matek. W gruncie rzeczy były raczej szkaradne. A więc wracał do siebie sam, być może trochę zasmucony faktem, że zawsze wraca sam.

A jednak Jean-Pierre miał powodzenie u kobiet. Zwłaszcza u starych, wrywały go sobie, pragnąc, żeby to właśnie on obmacywał im głowy. Nawet teraz, gdy mijały już sześćdziesiątkę, jak w tangu przenikał je potężny dreszcz, kiedy fotel się odchyłał. Ale w spojrzeniu Jean-Pierre'a było tylko nieco zmęczenia, uprzejmego zmęczenia tancerza światowca. Mogłyby wyczytać w tym spojrzeniu coś na kształt: „innym razem, innym razem”.

Mogłyby pojechać nad morze, ale dokąd? Nie miały wielkiego wyboru, ponieważ wzięły się do tego zbyt późno. Zaoferowano im jedynie pokoik w Cabourg nad

Kanałem La Manche. „Całkiem niedrogi jak na sierpień. Biorą panie?” - usłyszały w agencji. Za Marylene i Pomme siedzieli w fotelach oczekujący ludzie. Byli nawet i tacy, którzy stali. Marylene wpłaciła więc zadatek i otrzymała, podobnie jak Pomme, prospekt z widokami „Cabourg, jego piaszczystej plaży, tamy liczącej 1800 metrów, kasyna i kwiatów w ogrodach kasyna”

Była to skromna egzotyka w porównaniu z podróżą, jaką planował spec od reklamy z żelaznym podbródkiem. Marlenę miała pojechać do Maroka, do „klubu” na krańcach pustyni. Miały tam być oazy i fatamorgany, paimy i dromadery kołyszącym krokiem przemierzające Wydmy. Miała kąpać się nocą. A potem kochać się na piaszczystym brzegu morskim. Miała poznać smak wielkiego upojenia podczas szalonych nocy. Z serca Afryki dochodziłyby do jej uszu odgłosy wołań tygrysa i nosorożca.

W Cabourg będzie za to miała wydmy i telefon (na dole, w sklepiku właściciela).

Teraz Marylene stała się entuzjastką prostoty i skromności. Powiedziała do Pomme:

- Jakie ty masz szczęście! Nigdzie dotąd nie byłaś. A więc wszystko przed tobą.

Pomme nigdy nie widziała morza, jedynie na pocztówkach albo na plakatach SNCF, które znała aż za dobrze, ponieważ codziennie przechodziła przez dworzec Saint-Lazare.

Pokój, który wynajęły, był jeszcze mniejszy i bardziej niewygodny, niż się tego obawiały. Na dworze padało. Marylene zrzędząc rozpakowała swoje dwie opasłe walizy. Wyjęła z nich przezroczyste sukienki i inne odzieżowe mgielki, rozłożyła je przed Pomme, a potem cisnęła na łóżko gestem rozpaczliwego zniechęcenia:

- Nigdy nie będę mogła tego włożyć... ani tego... Spójrz!

Widzisz mnie w tym tutaj?

Pomme zauważyła, że na zewnątrz ludzie mają parasole.

Wreszcie się przejaśniło.

- To tylko ulewa - powiedziała Pomme przez przyjaźń dla Marylene. Miała ochotę pójść natychmiast nad morze. Marylene również była zadowolona, że może uciec z pokoiku, w którym słyszały, jak woda spływa rynną, dokładnie nad ich oknem. Doszły do tamy.

Morze zniknęło! Był odpływ. I nic, tylko piasek jak okiem sięgnąć i dopiero hen, daleko, wąski błyszczący pasek. Nieliczni spacerowicze w kaloszach i pelerynach, błakali się na brzegu tej katastrofy. Były tam także plażowe parasole, ale wszystkie złożone. Niektóre wywrócone. Wiatr gromadził chmury na wschodzie, a anemiczne słońce przeświecało z drugiej strony przypominające szary marmur niebo.

Pomme było zimno. Marylene miała wisielczy nastrój i mówiła o swetrach, które zostawiła w Paryżu. Zdecydowały kontynuować spacer „w mieście”.

Przemierzyły/ dwa lub trzy razy avenue de la Mer, gdzie były sklepy z wystawami.

Kupiły widokówki przedstawiające „ogrody kasyn” lub „port jachtowy” w czasie pięknej pogody. Wreszcie w porze „fajfu” poszły napić się gorącej czekolady do kasyna.

Zespół złożony z pianisty, kontrabasisty i perkusisty przygrywał tam z czysto mechaniczną solennością. Czasami jednak pianiście i kontrabasiście zdarzała się awaria.

Jedyny ocalały silnik - perkusista - w ciągu kilku sekund wchodził na wysokie obroty. Wkrótce jednak pianista rozgniał niedopałek papierosa na spodeczku, obficie pluł w dłonie (lub robił coś podobnego) i znowu zagłębiał się w swoich nutach. I wszystko wracało do ładu.

Nikt nie tańczył, ponieważ na skraju parkietu siedziały jedynie dwie inne pary kobiet, drząc z nudów nad gorącymi napojami, dokładnie tak, jak Marylene i Pomme

(w rzeczywistości była tam oprócz nich tylko jedna para, drugą był odbity w lustrze obraz Marylene i Pomme albo raczej - biorąc pod uwagę prawa optyki -

Pomme i Marylene). Pianista miał już swoje lata i posturę dozorca skweru. Bardzo sprawiedliwie obdzielał porozumiewawczymi spojrzeniami wszystkie kobiety na sali.

Kiedy podszedł kelner, by wydać resztę, Marylene zapytała, czy są tu jeszcze jakieś inne „lokale”. Odpowiedział, że niedaleko jest Calypsoteka, że tam jest ruch, ale otwierają ją dopiero wieczorem.

Następnego dnia zakończyły zwiedzanie miasta. Było jeszcze chłodno, ale wiatr ucichł. Chwilami pokazywało się słońce i odbijało się w kałużach wody na chodnikach.

Marylene chciała iść aż do „Garden tennis-club”. Kupiły więc dwie karty wstępu dla „zwiedzających”, ważne przez cały miesiąc. Pomme i Marylene przechadzały się wysypanymi żwirkiem alejkami. Pomme przyglądała się grającym. Marylene szacowała ich, obmacywała wzrokiem jak tkaniny na straganie na rynku Saint-Pierre. Pomme wiele razy zdejmowała buty, opierając się na ramieniu Marylene, by pozbyć się z nich kamyków.

Marylene stawała się coraz bardziej ponura. Wymyśliła, że spędzą z Pomme wakacje jak dwie grzeczne panienki. Ale miałyby to urok w Grand Hotelu. Mogłaby kazać portierowi wyprowadzać sforę swoich pekińczyków. Do śniadania siadałaby w batystowej koszuli nocnej. Przegrywałaby pieniądze w bakarata i codziennie dostawałaby bukiety róż od nieznajomych.

Ale nie o tym marzyła, nie taką chciała być. Może sprawił to klimat i wygląd miasta, domów, ogrodów, brak modnych sklepów. Byłoby lepiej mieć wielką, trochę staromodną willę, jak te, które widziała na przybrzeżnej grobli. Musiałaby jednak umieć grać w tenisa i jeździć konno (być może w amazonce). A typ urody

Marylene nie pasował do tego rodzaju sytuacji. Należało być wysoką i urodziwą, tak jak ona, ale mniej wymuskaną. Marylene zaś była w stylu Juan-les-Pins - prześwitujące bluzeczki i widoczny zarys majteczek pod spodniami, żadnych plisowanych spódnic, białych skarpetek i koszulek Lacosty. Czula się bardziej na swoim miejscu w kabriolecticie, z nagim ramieniem nonszalancko wystawionym przez okno, niż pedałując na trochę skrzypiącym rowerze, z rozwianymi włosami i grubym swetrze zarzuconym na ramiona. A w Cabourg taka

właśnie obowiązywała elegancja - zdrowa i świeża. Żadnego makijażu, a zwłaszcza opalenizny, cera jasna (lekką ogorzała), spojrzenie otwarte, kobiecość swobodna, niewymuszona, wielkimi krokami pokonująca kałuże z wodą. Można nosić trzy dni pod rząd to samo ubranie, chronić się w cieniu, kiedy świeci słońce, a w pozostałe dni chodzić w starym, nieprzemakalnym płaszczu na grzbiecie i w chustce na głowie.

Aż do „tej chwili Marylene marzyła o wielkich podróżach „jetami” PanAm-u, o tropikalnym niebie nad koralowymi wysepkami i o wyciągnięciu się na słońcu jedynie w naszyjniku z muszelek. Teraz rozumiała, że były to rozkosze urzędników biurowych. Trzy tygodnie na Antylach za 4500 franków T.T.C.

- to było drogie, ale jeszcze nie wystarczająco drogie.

I oto w umyśle Marylene cała cywilizacja zaczęła jawić się jako zabójcza.

Pasaż Lido właśnie zapłonął świecidełkami swoich wystaw. Prawdziwa elegancja, jak to dopiero co odkryła, była obca i nieosiągalna. Mogła jeszcze spotkać specja od reklamy, najbardziej atletycznego w całym Paryżu, i sprawić, by oszalał z zazdrości, ale zawsze w jej życiorysie brak będzie wakacji niegdyś spędzanych na brzegu skąpanej w deszczu plaży, w obszernej akustycznej willi, której ściany wypełniał śmiech dzieci i unoszący się kurz. Ona była po stronie „wakacjuszy”, obozowiczów, tych, którzy przyjeżdżają i wyjeżdżają, należeli do nich nawet bogacze, którzy zatrzymywali się w wielkich hotelach.

Marylene podejrzewała, że była to sprawa urodzenia. Bogate staruchy z salonu fryzjerskiego musiały być równie dalekie od tego - trochę godnego pogardy - sposobu istnienia. Ich sposób życia wymagał biżuterii, futer, torebek od Hermesa, podróży lotniczych. Marylene zdawała sobie sprawę, że tuż obok niej istnieli inni ludzie, lepszy rodzaj ludzki, zazwyczaj skryty za murami lub szybą. Czasami włóczyli się bez celu w starych, wygodnych i praktycznych ubraniach. Ten gatunek ludzi produkował młode kobiety o pełnym umiaru wdzięku i nieznośnej powściągliwości, które miały taką manierę czy dar, że potrafiły istnieć tak naprawdę gdzie indziej, jeśli przez przypadek lub nieuwagę znalazły się w środowisku innych ludzi.

Pomme nie zaprzętała sobie głowy takimi rozważaniami. Jej wystarczyło trochę słońca na plaży, które łagodnie ogrzałoby dopiero co zjedzony obiad. (Kiedy grzało zbyt mocno, szła w chłodne miejsce, do spizami). Ponieważ nie umiała pływać, wcale nie żałowała, że morze często było zbyt chłodne, by można było się w nim kąpać. Wieczorem podążała za Marylene do Calypsoteki. Wybijała na stole końcami paznokci rytm potyczek w ciemnościach. Bawiło ją także przyspieszone migotanie reflektorów: czerwony, niebieski, czerwony, niebieski, czerwony. Miało się Wrażenie że ludzie skręcają się w płomieniach.

Następnie cali i zdrowi wracali na swoje miejsca. Czekąca, aż to się od nowa zacznie, w bakarata i codziennie dostawałyby bukiety róż od nieznajomych.

Ale nie o tym marzyła, nie taką chciała być. Może sprawił to klimat i wygląd miasta, domów, ogrodów, brak modnych sklepów. Byłoby lepiej mieć wielką, trochę staromodną willę, jak te, które widziała na przybrzeżnej grobli. Musiałyby jednak umieć grać w tenisa i jeździć konno (być może w amazonce). A typ urody

Marylene nie pasował do tego rodzaju sytuacji. Należało być wysoką i urodziwą, tak jak ona, ale mniej wymuskaną. Marylene zaś była w stylu Juan-les-Pins - prześwitujące bluzeczki i widoczny zarys majteczek pod spodniami, żadnych plisowanych spódnic, białych skarpetek i koszulek Lacosty. Czula się bardziej na swoim miejscu w kabriolectic, z nagim ramieniem nonszalancko wystawionym przez okno, niż pedałując na trochę skrzypiącym rowerze, z rozwianymi włosami i grubym swetrze zarzuconym na ramiona. A w Cabourg taka właśnie obowiązywała elegancja - zdrowa i świeża. Żadnego makijażu, a zwłaszcza opalenizny, cera jasna (lekko ogorzała), spojrzenie otwarte, kobiecość swobodna, niewymuszona, wielkimi krokami pokonująca kałuże z wodą. Można nosić trzy dni pod rząd to samo ubranie, chronić się w cieniu, kiedy świeci słońce, a w pozostałe dni chodzić w starym, nieprzemakalnym płaszczu na grzbiecie i mokrejdiustce na głowie.

Aż do tej chwili Marylene marzyła o wielkich podróżach „jetami” PanAm-u, o tropikalnym niebie nad koralowymi wysepkami i o wyciągnięciu się na słońcu jedynie w naszyjniku z muszelek. Teraz rozumiała, że były to rozkosze urzędników biurowych. Trzy tygodnie na Antylach za 4500 franków T.T.C. - to było drogie, ale jeszcze nie wystarczająco drogie.

I oto w umyśle Marylene cała cywilizacja zaczęła jawić się jako zabójcza.

Pasa’Lido właśnie zapłonął świecidełkami swoich wystaw. Prawdziwa elegancja, jak to dopiero co odkryła, była obca i nieosiągalna. Mogła jeszcze spotkać specja od reklamy, najbardziej atletycznego w całym Paryżu, i sprawić, by oszalał z zazdrości, ale zawsze w jej życiorysie brak będzie wakacji niegdyś spędzanych na brzegu skąpanej w deszczu plaży, w obszernej akustycznej willi, której ściany wypełniał śmiech dzieci i unoszący się kurz. Ona była po stronie „wakacjuszy”, obozowiczów, tych, którzy przyjeżdżają i wyjeżdżają, należeli do nich nawet bogacze, którzy zatrzymywali się w wielkich hotelach.

Marylene podejrzewała, że była to sprawa urodzenia. Bogate staruchy z salonu fryzjerskiego musiały być równie dalekie od tego - trochę godnego pogardy - sposobu istnienia. Ich sposób życia wymagał biżuterii, futer, torebek od Hermesa, podróży lotniczych. Marylene zdawała sobie sprawę, że tuż obok niej istnieli inni ludzie, lepszy rodzaj ludzki,

zazwyczaj skryty za murami lub szybą. Czasami włóczyli się bez celu w starych, wygodnych i praktycznych ubraniach. Ten gatunek ludzi produkował młode kobiety o pełnym umiaru wdzięku i nieznośnej powściągliwości, które miały taką manierę czy dar, że potrafiły istnieć tak naprawdę gdzie indziej, jeśli przez przypadek lub nieuwagę znalazły się w środowisku innych ludzi.

Pomme nie zaprzętała sobie głowy takimi rozważaniami. Jej wystarczyło trochę słońca na plaży, które łagodnie ogrzałoby dopiero co zjedzony obiad. (Kiedy grzało zbyt mocno, szła w chłodne miejsce, do spiżarni). Ponieważ nie umiała pływać, wcale nie żałowała, że morze często było zbyt chłodne, by można było się w nim kąpać. Wieczorem podążała za Marylene do Calypsoteki. Wybijała na stole końcami paznokci rytm potyczek w ciemnościach. Bawiło ją także przyspieszone migotanie reflektorów: czerwony, niebieski, czerwony, niebieski, czerwony. Miało się wrażenie, że ludzie skręcają się w płomieniach. Następnie cali i zdrowi wracali na swoje miejsca. Czekala, aż to się od nowa zacznie.

Grzecznie odmawiała, kiedy proszono ją do tańca. W gruncie rzeczy trochę się bała tych czerwono-niebieskich krótkich spieć na parkiecie, ale bardzo lubiła przyglądać się zmysłowej choreografii, której oddawała się Marylene w swoim namiętym oburzeniu, że nie wygląda na arystokratkę.

Pomme nie zdawała sobie sprawy, że jej obecność - trochę nieokrzesana i zbyt szczerą - od kilku dni źle usposabia Marylene. A dokładnie - od owego wieczoru, który spędziły w Calypsotece. Tam, przy ogłuszających dźwiękach muzyki, Marylene zapomniała o willach na grobli i o tym innym rodzaju ludzi, którym do stóp łagodnie podpływa zamierające morze. Marylene przywracała do życia swoją dawną osobowość i każdy następny taniec sprawiał, że jej biodra w spódnicach koloru dzikiej malwy poruszały się coraz bardziej ekstatycznie.

Pomme niczego nie zauważyła. Aż do tej nocy, kiedy to sama wróciła z Calypsoteki.

Marylene wpadła nazajutrz, by zabrać swoje rzeczy. Była bardzo wesoła i bardzo się spieszyła.

- Czekają na mnie na dole. - I dodała na ułamek sekundy przed zamknięciem za sobą drzwi: - Teraz, kochanie, będzie ci tu wygodnie.

A oto inna wersja tych samych zdarzeń...

... Bo to, co zostało wcześniej powiedziane (patrz strona 40), wydaje się nieprawdopodobieństwem, czyż nie? Z jakiegoż to powodu Marylene miałaby okazać się wyczulona na tę elegancję dziewcząt z willi, które chwilę potem uznaje za

„godne pogardy”. To całkowicie nie w jej stylu. Gdyby nawet zauważyła te dziewczyny, musiałyby je uznać za głupie.

Oto, co mogło wydarzyć się naprawdę: po pierwsze Marylene nudziła się. „Miodowy miesiąc” z Pomme nie mógł trwać zbyt długo. Było to miłe, ale najzupełniej tymczasowe. A więc zobaczylibyśmy Marylene w barze w Garden tennis-club. Pomme jest przy niej, ale widzimy ją pod światło; z wolna rozplywa się, popijając mleko z grenadyną.

Marylene sący gin-fizz. Drogi, ale dający koloryt, pozycję, pewność siebie. No i w powieściach zawsze się to pija.

Zajmują miejsca na tarasie, przy kortach. Marylene przygląda się graczom w taki sposób, by mogli ją sobie obejrzeć. Zobaczylibyśmy ją, jak wzrokiem gładzi maski sportowych samochodów, zaparkowanych przy wejściu na tereny golfowe.

Usłyszeliśmy, jak wyrzuca z siebie dźwięczne salwy śmiechu w odpowiednich miejscach i odpowiednim czasie (syreny przeciwmgielne). Pomme drepcze z tyłu.

Marylene zapomina o Pomme, która dostaje zadyszki, podążając za tym nadzwyczaj ruchliwym sygnałem alarmowym (grobla, avenue de la Mer, potem jeszcze raz grobla licząca 1800 metrów etc). Pomme czuje, że jest niedyskretna w jakiś bliżej nieokreślony sposób. Udaje, że jest niczym. Spanie w jednym łóżku z Marylene, mycie się razem z nią, przyzwalanie na pieszczoty, w gruncie rzeczy nie było w tym nic nieskromnego w porównaniu z bezwstydem, z jakim Marylene odsłania swą kocią chuć. A jednak Pomme nie chce, by czar prysnął, nie śmie tego zrobić, czy wierzy jeszcze w ich wzajemną czułość. A zresztą, to, co musiało nastąpić, nastąpi, czyż nie?

Marylene ulotniła się na całe popołudnie. Powiedziała: „wychodzę” zamiast zwyczajowego - „wychodzimy”. Pomme miała już wstać, biorąc oddech, by podążyć za

Marylene, ponieważ taki był jej dotychczasowy los, kiedy do jej świadomości dotarło to „ja” w miejsce „my”. Usiadła (albo raczej nic nie zrobiła, ponieważ jeszcze się nie podniosła, ale miała wrażenie, że usiadła). Marylene zdążyła już zamknąć za sobą drzwi. Pomme słyszała, jak schodzi; potem usłyszała odgłos spuszczonej piętro wyżej wody, potem brzęk naczyń, a potem już nic. Było gorąco. (Tego dnia zaczęły się rzadko spotykane upały. Pamiętają je jeszcze w Cabourg). Pomme zupełnie nie miała ochoty wstać. Drzemała dłuższą chwilę. Obudził ją ktoś na schodach. Nie była to Marylene. Znowu zamknęła oczy.

Była nadzwyczaj spokojna. Na zewnątrz krzyczały jaskółki.

Było tak jak w sali kinowej, kiedy gasną światła na moment przed rozpoczęciem projekcji. Ale film miał być dla Marylene. Pomme dobrze wiedziała, że zawsze miała prawo tylko do antraktów. Nie odczuwała smutku z tego powodu; po prostu powróciła do swojego milczącego, ale zadawnionego i głęboko utrwalonego przekonania, że w gruncie rzeczy jest małą, nie liczącą się osobką.

Sprawdziła, która godzina. Jeszcze był czas, by pójść na plażę. Bardzo lubiła późne, popołudniowe słońce. Wzięła prysznic, ponieważ czuła się nieświeżo. Przez kilka minut wysychała na łóżku. Pościel, sufit, krzyki jaskółek na moment stały się zupełnie nowe. Znowu wstała. Przejrzała się w lustrze w drzwiach szafy.

Zadawała sobie pytanie, czy jest raczej ładna, czy też raczej brzydka. Własna nagość zawsze stanowiła dla niej niespodziankę. Były takie części ciała, z którymi nie była oswojona. Patrzyła na swój brzuch, na piersi, jakby ukradkiem, jakby była kimś innym, może mężczyzną albo dzieckiem. Nie było to nieprzyjemne.

Włożyła kostium kąpielowy i sukienkę.

Kiedy tylko znalazła się na plaży, spostrzegła, że jest zbyt biała i tłusta wśród tych smukłych, wyłożonych słońcem dziewcząt, w których naturze, jak się wydaje, było leżenie na słońcu i nieodparte pragnienie bycia przedmiotem kontemplacji. I nagle Pomme zadała sobie pytanie, co począć z rękami, nogami, ze swoim ciałem, które należało do niej tylko wówczas, gdy wypełniało swoje zadania.

Bo taka właśnie była natura Pomme i ona powodowała, że Pomme czuła się obco wśród tych dziewcząt na piasku (płatki na tacy z pozłacanego srebra): Pomme urodziła się do pracy. I właściwie nie wiedząc dlaczego, Pomme czuła się nie tyle brzydka, co zupełnie nie na swoim miejscu na tym ręczniku kąpielowym. Nie miała, przynajmniej tego właśnie dnia, skłonności do próżniactwa. Przygląda się teraz plażowiczom - jak niegdyś automobilistom na drodze w swojej wsi: była od nich odgradzona szybą. Po jej stronie szyby, twarzą w twarz z nagimi kobietami i mężczyznami, znajdował się świat pracy, to znaczy - pewna wstydlivość, która cichym głosem zmuszała ją do ponownego ubrania się.

Wracając (ale to nie Pomme zdecydowała o powrocie: ona była tylko posłuszna dłoni, która popychała jej ramię), Pomme dostrzegła Marylene. Marylene triumfowała w długim, czerwonym aucie obok mężczyzny o szerokiej szczęce.

Defilowała aleją nadmorską, a za nią podążał orszak innych samochodów. Obrzucała ludzi zepchniętych do rangi tłumu spojrzeniem szefa państwa. Była królową, szachinią, Jej Wysokością. Pomme poczuła się zagubiona w tłumie, w najwyższym stopniu wmieszana w tę publikę, za sprawą leciutkiego uśmiešku, który Marylene skierowała do niej z daleka, z tak wysoka, że nie ośmieliła się na niego odpowiedzieć.

Wechodząc do pokoju, Pomme natychmiast spostrzegła, że Marylene zabrała swoje rzeczy. Znalazła karteczkę: „Będzie ci wygodniej, kochanie. Zabrałam wieszaki, których ty nie potrzebowałaś. Zostawiłam dla ciebie ciastka na parapecie.

Ściskam cię mocno”.

Tym razem Pomme miała uczucie, że została nieskończenie pomniejszona: Marylene odeszła zostawiając jej... co? - Zaopatrzenie!

3

Pan de Beligne torował sobie drogę w tłumie prostaków aż do głównej ulicy miasteczka, która zwała się avenue de la Mer. Miał na sobie coś w rodzaju kaftana i białe spodnie do kolan. W lewej ręce trzymał raketę do tenisa, w pokrowcu z czerwonej imitacji skóry. Pograżony był w dziwacznych rozważaniach na temat dzisiejszego świata i samego siebie, wskazywał na to choćby jego przedziwny strój. To właśnie wówczas zauważył Pomme siedzącą na tarasie cukierni, z oczami wbitymi w roztopiającą się czekoladową kulkę: ta cicha kontemplacja rodziła się z niejasnego poczucia, że jest to zjawisko, któremu nie można zaradzić. Nie udała, że odtrąca osobnika, który usiadł obok niej.

Był to oczywiście Aimery de Beligne. Zamówił lody czekoladowe i „drugie dla panienki”.

Zakończył prezentację, kiedy przyniesiono porcje lodów; studiował w Paryżu w Ecole des Chartes. Ale pochodził stąd, z tych okolic, tu znajdował się zamek jego przodków (w rzeczywistości powiedział jedynie: „moich rodziców”); co roku spędzał tam wakacje. „A pani?” - zapytał. Pomme patrzyła na nową porcję lodów czekoladowych i zadawała sobie pytanie, czego można się uczyć w Ecole des

Chartes. Powiedziała, że jest kosmetyczką. Ludzie przechodzili ulicą. Jakiś mały chłopiec przez kilka sekund stał nieruchomo naprzeciwko nich. Ssał różowe lody na patyku, trochę się przy tym śliniąc. Jak na swoje trzy czy cztery lata wyglądał na bardzo zakłopotanego. Zaczął przestępować z nogi na nogę, żałośnie skubiąc nogawki spodni. Nagle uciekł.

Pomme zyskała nagły urok doskonale pięknego przedmiotu zagubionego w gąszczu przyziemnych wydarzeń, do których dawał jej prawo los, który jest losem powszechnym. Usiłując opisać tę postać, którą mógłby porównać do zdanego na łaskę wiatru pyłku, tak tragicznie maleńkiego, pisarz nieuchronnie by ją zniszczył. Nie istnieje bowiem żaden styl pisania dość finezyjny i jasny dla tak delikatnego stworzenia. „Koronczarkę” należałoby ukazać w samej przejrzystości jej robótki, w czasie spędzonym pomiędzy nitkami: coś nieskończenie prostego spłynęłoby z jej duszy na końce palców: coś delikatniejszego niż rosa - czysta przejrzystość.

Teraz Pomme nie jest niczym więcej jak tylko nieobytą dziewczyniną, która na tarasie lodziarni odpowiada na awanse jakiegoś elegancika. W jaki sposób wyrazić, że pod

prostakimi igraszkami stylu i przypadku Pomme pozostaje czymś znikomym i ulotnym, wruszającym swoją słabością i urzekającym mocą bycia w rzeczywistości kimś innym niż to, co można by o niej powiedzieć?

Aimery de Beligne miał niezwykle ruchliwą mimikę, ulotne wejrzenie i wysokie czoło, jakby już łysiał. Twarz miał bardzo pociągłą, nos burboński nieco sterczący nad wąskimi ustami i ledwie zaznaczonym podbródkiem. Był to chłopiec o wiele mniej odrażający, niż można by to wnosić ze sposobu, w jaki pojawił się na tych stronicach.

To jego spadziste czoło, ta wyniosła chudość, tak bardzo przywodziły na myśl samotników błądzących po kamieniach jakiejś średniowiecznej ruiny, że sam nieraz snuł marzenia o przejażdżkach konnych po wydmach i wrzosowiskach. W rzeczywistości prowadził samochód z dużą ostrożnością, a to z powodu lekkiej krótkowzroczności. Miał bardzo wiekowe 2 Chevaux, które z powodu najmniejszej nawet dziury w szosie krztusiło się spalinami. Ale młody człowiek za kierownicą tego organizmu zachowywał powagę i dostojeństwo duchownego. Wskrzeszanie dawnej świetności (z której wykiełkował jego zbyt duży nos, krótkowzroczność i nieśmiałość), ostatni potomkowie rodziny Beligne - był to dla niego rodzaj ucieczki od plebejskiego pochodzenia jego maszyny i od obecnego świata.

Aimery de Beligne miał przynajmniej tyle wspólnego z Pomme, że podobnie jak ona żył w jakimś innym świecie, który również czynił go nieco dziwnym. Dlatego też między innymi został studentem Szkoły Archiwalnej. Inny świat Pomme to nieskończoność wyciekająca kropla po kropli wraz z każdym nowym, naiwnie prostodusznym odruchem tej duszy naprawdę niewspółmiernej do żadnej innej, to nieznamość żadnego z tych lichych środków ostrożności, które zwiemy inteligencją i rozumem.

Aimery był inteligentny i diabelnie wykształcony, co można wybaczyć w jego wieku.

Był także bardzo nieśmiały i wyrzucał to sobie, podejrzewając niekiedy, że odtrąca gusty i radości pospólstwa przede wszystkim z obawy, że nie będzie mógł w nich uczestniczyć, ponieważ nie był ani przystojny, ani bogaty, ani zabawny.

(W każdym razie pewnego dnia będzie naczelnym konserwatorem w jednym z wielkich muzeów narodowych. Zapalił papierosa).

Coś zaczęło się dziać. Aimery mówił do Pomme. Mówił bardzo szybko i bardzo skrótowo, tak jak, ścieśniając słowa, piszą niektórzy ludzie. Pomme nie mówiła nic. Jakaś część jej samej słuchała; ale jedynie mała część. Ona zaś zaczynała pogrążyć się w letniej wodzie nieokreślonego marzenia. Coś się zmieniło. Również dla młodego człowieka. Ludzie przechodzili obok tej banalnej pary, niczego nie dostrzegając, tak naprawdę nawet ich nie widząc. Oni również nie widzieli ludzi. Właściwie nic się nie stało. Może tylko zmieniła

się nieznacznie barwa i konsystencja rzeczy znajdujących się przed nimi: oczywiście dotyczyło to lodów czekoladowych, ale także pucharków i małego, okrągłego stolika.

Nie zdarzyło się nic, co pozwoliłoby im przewidzieć tę chwilę. Żadne z nich nie zwróciło na nią uwagi. Czy zdawali sobie chociaż sprawę, że już odczuwają potrzebę ponownego spotkania?

Oto Pomme, aż do tej chwili tak zamknięta w sobie, z duszą skręconą jak muszla ślimaka, rozwijała się: jej milczenie wysunęło dwa małe różki w stronę

Aimery'ego, cofając się, ale nigdy całkowicie, kiedy młody człowiek zbyt długo zatrzymywał na niej spojrzenie.

Przez chwilę ich myśli samotnie prześlizgiwały się obok siebie. Każde z nich zamknęło się w sobie, nie próbując otworzyć kokonu, w którym zamknęło się drugie.

Nie czuli, że w tej samotności, już w niespełną godzinę po poznaniu się, kryło się ewentualne pragnienie życia we dwoje.

To pragnienie musiało w nich być już od dawna. Musieli je karmić długą nieśmiałością, tak w gruncie rzeczy podobną u jednego i u drugiego. A teraz ich dziwna obojętność na siebie była tak silna (być może było to zubożenie na swoje własne uczucia), że zamazywała obraz, brzmienie głosu, spojrzenie tego drugiego. Kiedy rozstawali się wieczorem, sugerując, że z pewnością spotkają się nazajutrz, żadne z nich nie mogło sobie dokładnie przypomnieć twarzy tego drugiego, mimo wysiłków, jakie czynili, nagle zatroskani o to, co przeżyli.

To zanurzenie się w sobie samym i w swoim wewnętrznym marzeniu często na pierwszy rzut oka ma pozór czegoś niestosownego; tak jak niestosowne były wszystkie te pytania, które młody człowiek stawiał Pomme, nie zadając sobie jeszcze trudu, by wysłuchać na nie odpowiedzi. Ale odpowiedzi przyjdą w swoim czasie, dużo później. Pomme ze swej strony nie odczuwała potrzeby zadawania pytań. Należała do ludzi, którzy wiedzą od razu, kogo mają przed sobą w podobnych okolicznościach. To nie Aimery już do niej należał, ale coś w rodzaju pewności, coś wewnątrz niej. Trzy, może czteroletni chłopczyk stanął przed nią nieruchomo, podczas gdy Aimery mówił. Ssał lody na patyku firmy Gervais i ślinił się. Pomme uśmiechnęła się do chłopca. Nie zdawała sobie nigdy sprawy, że lubi dzieci. Miała ochotę go pogłaskać, odgarnąć kosmyk włosów, który opadł mu na oczy. Ale chłopiec był trochę za daleko; przestępował z nogi na nogę.

Tego wieczoru Pomme miała poczucie, że w jej życiu zaszło naprawdę coś nowego; ale nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia oswoiła się już z tym kolorytem własnej

twarzy i duszy. Nie zdawała sobie sprawy, że to spotkanie sprawiło jedynie tyle, że przydało intensywności właściwym jej barwom, które być może istniały od zawsze.

Dla studenta sprawy nie przedstawiały się tak prosto. Był to chłopiec pokrętny.

Pomme natychmiast go urzekła, ale nie umiałby powiedzieć, dlaczego. Nigdy nie szukał tego, czego spodziewał się w niej znaleźć. Nie wiedział nawet, czym by to mogło być. Ale dobrze by było, gdyby dowiedział się o tym pewnego dnia. Przyłożyłby własną miarę do tajemnicy Pomme. Dobrze by było, gdyby w chwili, w której potrafi to określić, Pomme stała się szybko i naprawdę tym, co o niej sądził, czego od niej oczekiwał. Nie wystarczyło mu, że Pomme była pretekstem, czymś niezależnym od jego marzenia i od niego samego. Być może to kobiety są zwykle bardziej skłonne do tego typu mistyfikowania świata. Czasem potrafią spędzić całe życie z kimś w istocie zupełnie innym niż ich prawdziwy partner.

Tego wieczoru Pomme zapadła w sen, który przeniósł ją bardzo głęboko w trzewia nocy. Śniła, że się unosi niby pływający topielec. Przypominało to trochę śmierć, ale śmierć bardzo spokojną, na jaką czekała od zawsze, śmierć, która byłaby jej spełnieniem, jej prawdziwą urodą, uwolnioną od ograniczających przejawów życia.

Przespała w ten sposób aż do dziewiątej dwadzieścia pięć.

Przyszły konserwator, przeciwnie, długo nie mógł zasnąć. Nie mógł przestać roztrząsać własnych myśli. Oczywiście chodziło o Pomme. Jechała konno obok niego po wrzosowiskach, z fryzurą i nakryciem głowy średniowiecznej damy. On trzymał sokoła na prawej dłoni obciążonej czarną, skórzaną rękawiczką, dłoń lewa spoczywała na rękojeści sztyletu; jednakże uświadomił sobie, że nie powinien trzymać się na koniu w ten sposób; powinien znaleźć inną pozycję. Potem widział ją wyciągniętą na łożu z baldachimem. Była naga pod przezroczystymi zasłonami, które falowały wokół łóżka. Tuż przy jej złączonych piętach leżał chart. Blond jej włosów podkreślał złoty brokat poduszek, na których wspierał się jej delikatny kark.

Zasnął z tą wizją, ale sen miał niespokojny. Obrazy napierały. Śnił zbyt wiele snów jak na jedną noc. Zbudził się bardzo wcześnie, zmęczony błędzeniem w snach.

Ale czuł, że jest pełen energii. Uświadomił sobie, że nie umówił się z Pomme.

Ale ponieważ miał wszelkie szanse, by ją spotkać, pogratulował sobie tej małej niepewności, która przyprawiała ich przygodę odrobiną ryzyka.

Było za wcześnie, by iść na poszukiwanie Pomme. Postanowił więc pograć dwie godziny w tenisa. Poszedł dokładnie tam, gdzie dwie godziny później, po przebudzeniu, zdecydowała się udać Pomme. Ona także zdała sobie sprawę, że nie wyznaczyli sobie miejsca spotkania, ale dobrze wiedziała, że spotka go mimo wszystko; a ponieważ widziała go

poprzedniego dnia w stroju do tenisa, bez wahania więc udała się do Garden tennis-clubu. Miała dokładnie tyle czasu, by go rozpoznać w jego 2 Chevaux w chwili, kiedy stamtąd odjeżdżał. On jej nie widział.

Mimo wszystko nie pobięła za samochodem. Spokojnie zawróciła. Długo spacerowała po avenue de la Mer, w bezpośrednim pobliżu cukierni, gdzie się spotkali poprzedniego dnia.

Po rozegraniu partii tenisa przyszły konserwator doszedł do wniosku, że Pomme z pewnością będzie na plaży. Około dziesiątej zdecydował, że pozwoli się pokonać swojemu partnerowi, by jak najszybciej zakończyć grę. Po czym, wybierając jak najkrótszą drogę, dosłownie pognał samochodem na plażę. I podczas gdy Pomme przemierzała avenue de la Mer, on przeczesał dwukrotnie 1800 metrów piasku, ziarnko po ziarnku, ciało po ciele. Wreszcie doznał olśnienia! Pomme z pewnością musiała się udać na miejsce ich pierwszego spotkania. Niemalże pobięł do cukierni, w czasie gdy Pomme dreptała w stronę plaży zupełnie inną drogą. Usiadł na tarasie bardzo zawiedziony, że jej tu nie spotkał, lecz również pełen nadziei, że wkrótce ją zobaczy, że nagle rozpozna ją w tłumie ludzi, którzy szli w górę i w dół nadmorskiej promenady. Nie umiał wyjaśnić dlaczego, ale był przekonany, że Pomme nadejdzie z prawej strony. Lewa wydawała mu się pusta i nieprzyjazna. Ale od czasu do czasu rzucał okiem i na lewo. A że była pora obiadu, a on bardzo zgłodniał, zamówił dwa ciastka. Tymczasem Pomme przeczesywała 1800 metrów plaży, z niejaką zachłannością poszukując ciała, które musiało być chudsze i bielsze od innych. Ale nie znalazła tego, czego szukała.

Po południu przyszły konserwator zawrócił w stronę plaży, a Pomme pospieszyła w kierunku Garden tennis-clubu. Ich drogi nie skrzyżowały się. Teraz oboje byli zaniepokojeni: właśnie rodziła się wielka, gwałtowna namiętność, podsycana kolejnymi rozczarowaniami. Zobaczyć się tylko, zamienić choćby jedno słowo - byłaby to przyjemność, o jakiej zaledwie śmieli marzyć. Jedno chybione spotkanie może połączyć dwa losy silniej niż słowa przysięgi.

Wreszcie późnym popołudniem oboje przybici, wyczerpani bieganiną, dotarli w kilkuminutowych odstępach do tego samego miejsca. Pomme pierwsza usiadła przy stoliku, niedaleko mrugającego porozumiewawczo pianisty, o wyglądzie dozorca parkowego. Do salki, gdzie odbywały się potańcówki przy herbacie, student zajrzał kilka minut później. Nie musiał nawet udawać zaskoczenia, kiedy zobaczył twarz Pomme rozpaczliwie zwróconą w jego stronę.

Nie mieli sobie absolutnie nic do powiedzenia. Siedzieli już tak obok siebie prawie pięć minut, niedyskretnie zachęcani przez dozorcę parku. Przyszły konserwator bardzo się bał, że Pomme może mieć ochotę na tańce, ponieważ nie umiał tańczyć, a nie domyślał się, że

Pomme może się tego domyślać (był przez to bardziej interesujący w oczach dziewczyny). Zapropował jej, by przeszli obok zagrać w ruletkę. (Rano wziął ze sobą trochę pieniędzy, z myślą że zaprosi Pomme na obiad i - dlaczego by nie? - na kolację).

Nie byłoby dziwne, gdyby się okazało, że Pomme nigdy dotąd nie była w sali gry.

Była bardzo onieśmielona; wszystkimi zmysłami chłonęła nowe doznania: wielki zielony stół, kołowrót, z którego odbijała się kula, zatrzymująca się potem łagodnie, jakby zahipnotyzowana spojrzeniami. Obserwowała mężczyznę ubranego na czarno, który wypowiadał rytualne słowa, nawiązując pełen napięcia kontakt na linii spojrzenie - kula:

- Les jeux sont faits?... Rien ne va plus.

Przeciągał miękko „rien”, by nagle bezwzględnie i twardo zakończyć owym „plus”.

Ufając szczęściu, które właśnie znalazł, przyszedły konserwator wymienił dziesięć tysięcy franków na żetony po pięć franków. Wyjaśnił Pomme zasady gry i dał jej połowę żetonów. Poinformował ją, że istnieją matematyczne reguły, które pozwalają zapanować nad hazardem, a które on zna (sam był zdumiony własną fanfaronadą). Pomme była zachwycona, że odkryła coś podobnego i że zabawa może być sposobem zdobywania pieniędzy. Życie było daleko bardziej podniecające, niż to mogła sobie wyobrazić.

Przyszedły konserwator stracił pieniądze w mniej niż dziesięciu rzutach, ponieważ stawiał po dwa żetony naraz z obawy, że może wydać się strachliwy. Pomme zwlekała nieco z postawieniem swojego ostatniego żetonu, ponieważ to nie były jej pieniądze, i była bardzo speszona, że je przegrywa.

A więc nie miał już ani grosza, by zaprosić ją na kolację. To było kłopotliwe.

Jeszcze nie rozmawiał z Pomme tak, jak by tego pragnął (ale cóż miał jej do powiedzenia?): nie mogli się rozstać w ten sposób.

Pomme przyszła mu z pomocą i zaproponowała, by poszli do niej i zjedli coś razem.

Pomyślał, że to cudowny pomysł, albo raczej powiedział jej, że pomyślał, że to cudowny pomysł. Jednakże wchodząc do jej pokoju zdał sobie sprawę, że nie tylko nie pozbył się kłopotu, ale popadł w jeszcze większy; znajdował się sam na sam w pokoju z młodą dziewczyną: czyż nie powinien wziąć jej za chwilę w ramiona? Przyglądał się jej, jak otwiera puszkę z fasolką szparagową, potem przekłada ją do salaterki, w której przedtem wymieszała olej Lesieur z winegretem i szczyptą soli. Widział tylko jej plecy i zastanawiał się, czy te plecy zdradzają jakieś wzruszenie, oczekiwanie. Zjedli sałatkę z fasolki, zanim młody człowiek zdążył odgadnąć pragnienia dziewczyny, która ich zresztą nie miała. Była zwyczajnie zadowolona, że jest z młodym człowiekiem, że je z nim kolację, i nie była zaniepokojona jego milczeniem. On zaś dręczył się, że nie ma jej nic do powiedzenia.

Tym razem rozstając się uważali, żeby wyznaczyć sobie spotkanie. On dwukrotnie przypomniał jej godzinę i miejsce. Potem, zanim cokolwiek się między nimi zdarzyło, poszedł sobie jak klient, który wychodzi ze sklepu, gdzie zadatkował jakiś towar.

W ciągu następnych dni zabierał ją swoim samochodem najdalej, jak to było możliwe, od plaży i ludzi. Uważał, że różni się od trywialnego szpaleru ciał na piasku. Zwiedzili Honfleur i wysokie domy pokryte łupkiem, nad spokojnymi wodami starego portu. Pomme ubrana była w bluzkę koloru butelkowej zieleni, zasłaniającą górną część jej ramion, i krótką, bardzo opiętą spódniczkę. Miała buty na obcasach i torbę z czerwonej, lakierowanej skóry. Aimery kazał jej kupić koszyk i sandały ze sznurka. Czerwona skóra została ukryta w koszyku. Aimery rozpoczął edukację Pomme. Nie podobały mu się na przykład dwa małe, złote kółka, które Pomme miała w uszach. Nosila je od czasu, gdy skończyła osiem lat: opowiedziała mu, jak jubiler przekłuł jej uszy igłą. Owego dnia po raz pierwszy była w mieście.

Powyżej Honfleur, od strony Grace, znaleźli kapliczkę. Pomme uważnie odczytała tekst dziękczynienia starodawnych żeglarzy. Z tej wysokości można było dostrzec estuarium Sekwany, a dalej morze (doskonale gładkie lustro z tej odległości) opanowane przez ogromne masy tankowców, które jakby lekko przesunęły linię horyzontu.

Innym razem pojechali zobaczyć arrasy królowej Matyldy w??????, które także przypominają morski horyzont. Aimery przeczytał i przetłumaczył dla Pomme historię Wilhelma, którego armia wyruszyła na wyprawę statkami wielkości wanny.

A znów kiedy indziej wybrali się, by podziwiać falezy między Villers a Houlgate.

Mogli z nich dojrzeć całe wybrzeże od Cotentin po Havre.

- Jakie to piękne - powiedziała Pomme. I dodała: - Można by powiedzieć, że to mapa geograficzna.

Aimery odpowiedział coś, co zaczynało się jak: „morze, zawsze odradzające się morze...”, co wcale nie brzmiało lepiej.

Teraz, kiedy był z nią bliżej, nie obawiał się już tak bardzo, że w porę nie odgadnie, czy Pomme oczekuje od niego miłosnego gestu. Oczywiście, w końcu będzie musiało do tego dojść, nawet jeśli miłość, jaką czuł do niej lub jaką wydawało mu się, że czuje, była innego rodzaju, ale określone sytuacje mają swoje własne wymagania, którym prędzej czy później trzeba się poddać, dobrze o tym wiedział. Jednakże wołał, żeby to nie nastąpiło zbyt wcześnie. Domyślał się, że jego sen o Pomme mógłby się skończyć, gdyby ją rzeczywiście posiadał.

Tymczasem korzystał więc z okazji i podczas spacerów i wycieczek prowadził elementarne wykłady z poezji, dokonywał moralnej toalety narzeczonej. Przygotowywał ją do wielkiej chwili, nie mogąc zresztą dokładnie ustalić, kiedy ona nastąpi.

Rzeński i ożywczy klimat Cabourg jest szczególnie zalecany dzieciom, starcom i rekonwalescentom. Na plaży, pod okiem dyplomowanego nauczyciela, organizowane są lekcje gimnastyki. Dorośli również mogą się na nie zapisywać. Poza tym wczasowicze mają do wyboru tenis, golf i inne rozrywki sportowe i rekreacyjne, jak choćby jazda konna, kursy żeglarskie, klub brydżowy i oczywiście kasyno, z jego charakterystyczną orkiestrą, grami hazardowymi, ruletką i cosobotni wieczorny koncert z udziałem gwiazdy music-hallu.

Piaszczysta plaża jest szeroka, zwłaszcza w czasie odpływu; można tu wynająć kabinę albo parasol. Wszystko jest tak pomyślane, by zapewnić dzieciom rozrywki, a rodzicom spokój: przejażdżki na ośle lub kucyku, nieustannie nadzorowany plac zabaw, i co tydzień konkurs z licznymi nagrodami na najpiękniejszy zamek z piasku.

Pośród imprez regularnie organizowanych przez ośrodek informacji turystycznej, kierowany od dwudziestu trzech lat przez dynamicznego i zawsze młodego P. L., trzeba przede wszystkim odnotować corso kwiatowe, odbywające się pod koniec lipca.

Cabourg słusznie nazywany jest „plażą kwiatów”, a tego dnia ma to jeszcze większe uzasadnienie niż kiedy indziej: kupcy z miasta prześcigają się w pomysłach na dekorację wozów, które defilują po nadbrzeżu. Dzieci ze szkoły i z parafii rzucają w tłum płatki róż. Kilka dni później, również na nadbrzeżach, odbywa się konkurs elegancji samochodowej. Rozdanie nagród ma miejsce w kasynie.

W czasie trwania tego wieczoru obecni na nim panowie uczestniczą w wyborach miss Cabourg. Wybierają spośród dziewcząt zaprezentowanych przez sympatycznego przewodniczącego ośrodka informacji turystycznej.

Twarz Pomme miała w sobie coś czystego i czytelnego. Jednakże to, co udawało się z niej wyczytać, było naiwne, przynosiło rozczarowanie. Ale czyż chodziło o odczytywanie czegokolwiek? Student rozkoszował się samą myślą, że to coś jest tam, jak wiadomość tymczasowo nie do odczytania. Tak więc materia, z której ulepiona była Pomme, bardzo cenna, jak można było podejrzewać, okazywała się nieskazitelnie nieprzejrzysta, jak klejnot, którego doskonałość polega na tym, że nie ma blasku.

Wysiłki Aimery'ego by zawładnąć Pomme, by przybrać ją w kolory i odcienie stosowne do wyobrażeń, jakie miał o niej - wszystkie spełzły na niczym.

Dziewczyna była ulepiona z bardzo plastycznej masy, która miała jednak tę właściwość, że natychmiast pozbywała się formy, którą usiłowano jej nadać. Przy najmniejszej nieuwadze z jego strony na powrót stawała się doskonale białą plamą.

Wydawało się, że Pomme nasiąka słowami Aimery'ego, pejzazami, które jej nakazywał podziwiać, albo muzyką, na przykład tą symfonią Mahlera wysłuchaną z tranzystora, który Marylene zapomniała zabrać z wynajętego pokoju.

Być może młody człowiek odkrył to, co stanowiło tajemną, pozbawioną promienności urodę Pomme. Był to strumień biegnący pod wielkimi, mrocznymi drzewami bawarskiego lasu, którego nurt nie ma żadnego ziemskiego źródła, ale zasilany jest potokami słońca spomiędzy jodeł. Słońce pozostawia wówczas na trawie coś w rodzaju mroku.

Po wybrzmieniu ostatniej nuty symfonii Pomme powoli wstała, oderwała dłonie od radioodbiornika i podniosła je do twarzy, jakby chciała zebrać razem ostatnie poszumy wysokich konarów zmieszanych z muzyką i jej własną duszą. Potem poszła pozmywać naczynia, które zostały po obiedzie.

Czyż to nie była cała Pomme: sen, który kończył się w mydlinach zlewozmywaka albo w kłębach włosów na podłodze salonu fryzjerskiego? Prostota dziewczyny pozostawała w naturalnym, cichym porozumieniu z najsztubtelniejszymi wytworami sztuki, w podobnej zgodzie pozostawała z rzeczami i sprzętami. I być może jedno nie mogło istnieć bez drugiego. Niespodziewane i nie wyspekulowane piękno, jakim emanowała Pomme, odciskając je na codziennych zajęciach - kiedy zmywała lub przygotowywała kolację, ten odcisk zwykłego dostojeństwa gestu „Koronczarki” pochodził bez wątplenia z tego samego świata, co symfonia Mahlera.

Ale tego student nie mógłby zaakceptować. Nie był aż tak naiwny. Piękno i wykwiint winny mieć swoje własne miejsce, z dala od reszty świata, w którym króluje banał i brzydota. Pomme nie mogła być wykwiintna (nie miała do tego prawa) poza światem, w którym słuchali muzyki, w czynnościach lub w gestach, dla których opuszczała ten wysoki rejon.

Nie był jednak tak zupełnie nieczuły na tę niezmienną i właściwie nieoczekiwaną spójność Pomme z nią samą, z przedmiotami, których dotykała. Tymczasem ta podniecająca pokusa, działająca na jego władze i nawet na jego pragnienie podziwu i miłości, była ciągle jeszcze zakazana. Odczuwał z tego powodu coś w rodzaju niechęci do Pomme, nawet jeśli nie w pełni to sobie uświadamiał: w rzeczywistości była tak blisko tego, czego od niej oczekiwał, ale tak daleko od tego, co postanowił sobie w niej widzieć.

Pomme mogłoby się przydarzyć wszystko, co tylko byśmy chcieli, lecz w gruncie rzeczy nie miałyby to znaczenia. Nigdy nie będzie niczym innym, jak tylko swoją historią,

całą sobą, tak jak całą sobą jest w swoich gestach. To może oznaczać bycie niczym albo prawie niczym. Tak bardzo przywodzi na myśl rodzaj zaświatów, nieskończoność. A kiedy się chce rozłożyć ją na czynniki pierwsze, nawet bez jej udziału, kiedy się chce w końcu wiedzieć, kim jest naprawdę, wówczas ucieka, znika, jakby zawsze była tylko iluzją, wyobrażeniem.

W chwili obecnej Pomme lubi spacerować tak jak Aimery; nie znosi plaży, tak jak on.

Czyta książkę, którą dał jej Aimery. To „Astrea” w starej oprawie z brązowej skóry. Podoba się jej ta okładka.

Pewnego dnia przyszły konserwator zauważył, że Pomme przyciąga spojrzenia. Nie były to spojrzenia dwuznaczne, raczej pełne szczerzej pożądlivosti. To mu trochę pochlebiało, że idzie obok dziewczyny, która, co dawano mu do zrozumienia, jest godna pożądania; ale jednocześnie czuł się zażenowany, odczuwając w stosunku do niej tylko coś w rodzaju rozczulenia, w gruncie rzeczy bardzo niewinnego.

Kierowane na nią spojrzenia bez wątpienia podnosiły cenę dziewczyny, odbierając jej jednak ten rodzaj wartości, jaki starał się w niej odnaleźć. Wkrótce te spojrzenia zirytowały go. Odczuwał dziwną zazdrość z ich powodu, zazdrość człowieka okradanego z tego, na czym mu samemu nie zależy.

I kiedy w dwa tygodnie po ich pierwszym spotkaniu podjął decyzję, by się z nią kochać, stało się to z ponurej, niespokojnej i wreszcie małodusznej chęci, by położyć kres niepewności własnych uczuć, z powodu niejasnych wyrzutów sumienia czy też podejrzeń, że nie wie, kim jest Pomme i kim mogłaby dla niego być. Nie starał się już sam siebie przekonać, że Pomme jest w jakiś sposób cenna. Bał się ją kochać, bał się do niej przywiązać. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie, od chwili gdy ją poznał, i już, Bóg wie w jaki sposób, stanowiła część jego obyczajów; przeniknęła do jego życia, przepoiła je jak woda, którą miesza się z

Pastisem 51. Ale nie mógł się zgodzić na to, by pewnego dnia miało mu jej brakować. Musiał ją ujarzmić, odsuwając jednocześnie od siebie.

A potem nadeszły ostatnie dni wakacji. Oboje mieli wrócić do Paryża. Młody człowiek obawiał się wbrew sobie, że w chwili odjazdu Koronczarka pożegna go bez ceremonii i bez nadziei. I ta obawa dowodziła również i tym razem, że ma świadomość osobowości Pomme: ona go kochała, nie ma co do tego wątpliwości, ale całkiem po prostu zerwałaby nitkę ich historii zębami, odłożyłaby na bok robotę, nie myśląc o niej więcej.

Chciałby więc dać jej poznać, że w jakiś sposób zależy mu na niej, pod warunkiem jednak, że jej tego nie powie. Uważał, że mówiąc, tylko by się ośmieszył. W istocie byłby

śmieszny, ponieważ to, co odczuwał w stosunku do Pomme, nie mogło być „nazwane” miłością, nawet jeśli ta niepewność była w jakiś sposób (a zatem naprawdę) miłością.

Jednakże nie pożądał jej. Za bardzo był pochłonięty wszystkimi tymi pytaniami, by jej pożądać. Jego ciało było zażenowane. Nieraz zdawało mu się, że czuje, jak jego usta błędzą po powierzchni ciepłej, leciutko bursztynowej skóry dziewczyny, w miejscu gdzie ramię przecina ramiączko stanika. Ale nic się nie wydarzyło: rozmawiał z nią jak zazwyczaj i jedynie słowa zajęły miejsce, które spojrzenie wyznaczało ustom. A zatem mówił do niej i mówił. Niezgrabnie, ale dziewczyna wcale nie pękała ze śmiechu. Wydawało się, że zastanawia się przez chwilę; potem powiedziała, że to się stanie, „kiedy będzie chciał”. Aimery odetchnął z ulgą, ale jednocześnie był rozczarowany tak prostolinijną odpowiedzią. Nie pozostawała ona w żadnej proporcji z wysiłkiem, jaki włożył w to, by się wypowiedzieć, a zwłaszcza - myślał - z powagą sytuacji. Pomme powiedziała mu już wcześniej, że jest dziewicą. Wierzył jej. A zatem, a zatem, dlaczego tak łatwo się poddała?

Czyżby nie miało to dla niej żadnego znaczenia? Gdyby był konsekwentny w stosunku do samego siebie, nie zadawałby takich pytań. Czyżby zupełnie nie przeczuł, jak „nieważna” może być dla dziewczyny ich prawdopodobna rozłąka?

Postanowili, że stanie się to tego samego wieczoru. Potem przez cały dzień, który spędzili jak i inne - na starannie opracowanej przechadzce polnymi drogami, Pomme nie okazała żadnego zmieszania. Zgadzała się z Aimerym co do tego, że krajobrazy były nadzwyczaj piękne, zarówno tego dnia, jak i kiedy indziej. Gdy w drodze powrotnej wysiedli z samochodu, by pójść na molo w porcie Ouistreham, ujęła go za rękę.

Zjedli tam razem kolację, siedząc twarzą w twarz. Pomme jeszcze kilkakrotnie kładła rękę na dłoni młodego człowieka. On ze zdziwieniem przyglądał się jej twarzy, z której ciągle nie dało się niczego wyczytać. Przypomniawszy sobie o decyzji, którą rano podjęli; było to jak bardzo odległe wspomnienie. Mówił sobie, że Pomme trzyma go teraz za rękę, że jego dłoń łagodnie spoczywa w jej dłoni i że są bardzo starą parą. Spokojny strumień czułości przepływał z jednego krańca stołu na drugi, między talerzami, do połowy pełnymi szklankami i półmiskami. W blasku tego uczucia twarz Pomme na krótko, ale wyraźnie, stała się czytelna nawet w swojej nieprzejrzystości: to była twarz jego kobiety.

Zaraz po sałacie Pomme wstrząsnął leciutki dreszcz. Poszedł po szal, który zostawiła w samochodzie, i zarzucił jej na ramiona. Powiedziała „dziękuję”; miała uśmiech młodej kobiety w ciąży. Student stłumił odruch buntu; albo da się oszukać, złapać w pułapkę, albo dopuści się obrzydliwego czynu wobec tak bezbronnego stworzenia. Zapalił papierosa.

Wracając do Cabourg, liczył słupki kilometrowe aż do wjazdu do miasta. Gdyby ich liczba była nieparzysta, nie wszedłby na górę do jej pokoju.

Tak więc nie chodziło już o to, czy chce się tego, czy nie; wszystko zostało już postanowione. To, co miało się teraz wydarzyć między Pomme i młodym człowiekiem, było końcem ich historii. Aimery podejrzewał to, ale nie mógł już niczego zmienić, to było jak nagle uświadomienie sobie zmęczenia w czasie spaceru, który chciałoby się natychmiast przerwać; pozostaje jednak droga powrotna, która wydaje się nie mieć końca.

Aż do ostatniej chwili wierzył, że jeszcze może położyć kres tej przygodzie albo zmienić jej bieg (spacerowicz widzi jeszcze wzgórze, z którego wyruszył: może tam błyskawicznie zawrócić myślą). Nic się nie wydarzyło; mógł sprawić, by oprócz krótkiej wycieczki z dziewczyną z innego świata, o której zachowa wspomnienie między dwiema stronicami tomu Owidiusza albo gramatyki Plauda i

Meuniera, nic się nie zdarzyło. Ale gdzie była właściwie ta „ostatnia chwila”, po której nie ma już odwrotu? Czy wtedy, gdy złożył jej propozycję, a ona ją zaakceptowała, czy też na moment przed jej spełnieniem?

W każdym razie wszystko tego dnia toczyło się tak, jakby kierowała nimi jakaś niezależna od ich woli siła, w podobny sposób, jak reguły gramatyki rządzą naszą wypowiedzią. W końcu trzeba powiedzieć to, co nie musiało być powiedziane. A co gromadziło się od chwili, kiedy się spotkali. Być może było to rzeczywiście wcześniejsze od ich spotkania. Był jakiś początek, zanim jeszcze wszystko się między nimi zaczęło. A teraz następował koniec, zanim cokolwiek się skończyło.

Wracając z Ouistreham, student patrzył na mijane słupki kilometrowe z goryczą.

Gdyby ich liczba była nieparzysta, nie poszedłby na górę do pokoju. Ale wiedział, że będzie ich osiemnaście. Wiedział także, że to „za późno”, z którym igrał jak dziecko z ogniem, nadeszło właśnie teraz. Nie pragnął Pomme, a zwłaszcza nie miał ochoty z nią żyć. A jednak będzie z nią żył, przynajmniej przez jakiś czas. Po co to wszystko? Po prostu dlatego, że się zaczęło i że obowiązują tu pewne reguły, nie potrafiłby właściwie powiedzieć jakie. Ale coś, co ma początek, musi mieć koniec.

Tej nocy Aimery podążył za Pomme po schodach, z uległością, wbrew sobie, z niejasnym poczuciem, że robi coś absurdalnego. To, co miało potem nastąpić, będzie już zbyteczne.

Pomme rozebrała się sama, spokojnie, tak jak z pewnością musiała to robić co wieczór. Złożyła starannie spodnie, zanim zawiesiła je na oparciu krzesła. Młody człowiek osłupiał wobec takiego spokoju; wysiłek, z jakim usiłował od samego rana znaleźć jakiś gest,

który jego ciało mogłoby wykonać w stronę ciała Pomme, wydał mu się trudem naprawdę śmiechu wartym wobec tego, tak prostego i milczącego, opanowania. Nie wiedział jednak, że zazwyczaj Pomme nie była tak dokładna.

Wsunęła się pod prześcieradła i oczekiwała go bez słowa. On także nie umiał znaleźć żadnych słów. Ale zobaczył ją na chwilę, zanim wśliznęła się do łóżka, naga, lekko skuloną, jakby było jej zimno. I ten dar, tak natychmiast uktyty, z tego nagle bezcennego, bo widzianego tylko przez sekundę, ciała, dzięki nieśmiało zaakceptowanemu przyzwoleniu sprawił, że dłoń młodego człowieka powędrowała ku prześcieradłom i stając się, tym razem ona, przesadnie dokładną, odsłoniła Pomme.

Kochał ją w głębokim skupieniu i przez cały czas w tym samym geście odsłaniania.

Poznał już tę przyjemność, ale nigdy jeszcze nie zaznał tego wzruszenia.

Jednakże wzruszenie skończyło się wraz z przyjemnością, jakby pozbawione źródła, którym zatem nie była sama dziewczyna.

Potem rozmawiali o ich wspólnym życiu w Paryżu, w wynajętym pokoju studenta.

Pomme zasnęła. Aimery słuchał, jak oddycha. Nic się nie zmieniło. Był to ciągle ten sam spokój, nieprzenikniony, niezrozumiały. Został sam. Chciałby ją zbudzić, potrząsnąć nią, żeby coś do niego powiedziała, że jest szczęśliwa albo smutna, nieważne co. Wstał z łóżka. Podszedł do okna. Niebo było jak czarna laka. Nie było widać jaśniejącego płaszcza gwiazd. Spadła ciepła kropla deszczu. Potem już nic. Nawet wiatru. Z oddali słychać było morze. Nie chciał jej budzić. Czemu miałoby to służyć? Nie będzie mniej nieobecna niż w głębi swojego snu. A zatem czekał nadejścia dnia. Nie był nieszczęśliwy. Nawet nie był rozczarowany.

Uzbroił się w cierpliwość. W Paryżu z pewnością będzie inaczej. I w końcu czas będzie płynął. Zadawał sobie pytanie, czy pomyślałby jeszcze o Pomme, gdyby się rozstali. Odczuwał pewną nostalgię za przyszłością.

Młody człowiek został przedstawiony matce Pomme, gdzieś w Nanterre czy Suresnes.

Pomme była tłumaczem, jak między szefami państw, którzy mówią odmiennymi językami. Wszyscy byli bardzo onieśmieleni. Młody człowiek okazał się ceremonialny. Pani zawiadomiła go całkiem po prostu, że jest „do usług”.

Tego samego dnia wprowadzili się do jego pokoju, który był właściwie obrzydliwą mansardą przy ulicy Sebastien-Bottin 5. Ale kamienica miała pozory mieszczańskie, przynajmniej dopóki nie dotarło się na poddasze. Początkowo Pomme nie potrafiła ukryć zaskoczenia, widząc skrajne ubóstwo tego mieszkania. Nie pasowało do wyobrażeń, jakie miała o swym przyjacielu. Ostatecznie w pokoiku na poddaszu mógłby mieć kwiaty w oknach, ładne widokówki na ścianach, pstrokatą kapę na łóżko, gitarę, papier nutowy rzucony

bezpośrednio na podłogę i świece jako oświetlenie. Bieda jest w końcu dla studenta stanem przejściowym. Pomme oglądała w telewizji film o młodości

Schuberta.

Nie zwlekając wzięła w posiadanie to miejsce wraz z jego najmniejszymi zakamarkami. Wymyła ściany i wywoskowała parkiet. Ułożyła książki według wielkości i koloru; kupiła materiał na zasłony; wyłożyła półki w ściennej szafie glansowanym papierem, ponieważ tak jest schludniej. Na koniec zamienili wąskie łóżko studenta na wielkie łożo o szerokości metr czterdzieści. Musieli wyrzucić stół do pracy, zaklinowany przy oknie, które nie dawało się przez to otwierać.

Kupili zmyślny stolik do brydża, który mogli wsuwać pod materac, ilekroć otwierali okno lub kiedy zapragnęli mieć więcej przestrzeni.

Pomme chciała gotować. Mogłaby postawić bukiet kwiatów na stoliku brydżowym.

Kupili kuchenkę elektryczną. Trzeba było przerobić jeden z kontaktów. Aimery narzekał trochę, że będzie miał kłopoty z gospodynią, że nie jest całkowicie pewny, czy ma prawo to robić, że będą zapachy kuchenne. Mimo wszystko zgodził się przytwierdzić nowy kontakt, tuż przy listwie podłogowej: to było zajęcie dla mężczyzny. Kupili też szafkę, w której chowali przybory toaletowe, gdy przychodziła pora, by umywalka zmieniła się w zlewozmywak.

Aimery'ego bawiło, że żyje w tym widoczku z zasłonkami w biało-niebieską kratkę.

Nie żałował, że dzieli z kimś tę swoją niewielką przestrzeń i że musi starannie składać wszystkie swoje papiery i książki za każdym razem, kiedy stół do pracy znika pod łóżkiem: miłe niedogodności miłości w mansardzie.

Pomme wstawała rano pierwsza. On patrzył, jak się myje: miała dwa dołki w miejscu, gdzie zaczynają się pośladki i pulchne ramiona. Ubierała się szybko, nie robiąc hałasu. Podchodziła, by pocałować go w szyję. Udawał więc, że się właśnie obudził, na wpół uśmiechnięty, na wpół zrzędlivy. Wstawał dopiero po jej wyjściu. Schodził na poranną kawę do Jean-Barta. Z dwoma rogalikami. Pół godziny rozmyślał nad swoją przyszłością. Od czasu do czasu myślał o Pomme.

Pomme przyjęła na siebie z radością i delikatnością dodatkowe koszty utrzymania; jej obecność była ulotna; czasami umiała nie istnieć przy milczącym przyzwoleniu młodego człowieka o myślącym czole.

Wracała koło ósmej wieczorem ze sprawunkami. Ponieważ student miał jeszcze wakacje, zostawał w domu, by czytać, albo korzystał z pięknych wrześnieowych dni i spacerował po nadbrzeżach Sekwany lub w ogrodach Tuileries. Czasami spędzał godzinę w

Luwrze. Był to jeden z najszcześniejszych okresów w jego życiu. Nigdy jeszcze nie zakosztował podobnego smaku wolności i pogodzenia z samym sobą.

Włóczył się całymi popołudniami. Dopiero gdy zachodziło słońce, wracał przez pont des Arts Institut, rue de l'Universite: owe czcigodne nazwy wzbogacały, jak sądził, jego ówczesne życie. To było jednak coś innego, niż mieszkać na ulicy

Edmond-Gondinet w XIII dzielnicy czy na placu Octave-Chanute nad jakimś Feliksem

Potin! Przypominał sobie o Pomme, w chwili gdy wchodził do pokoju. Czasami próbował odnaleźć ją w sklepach.

Nauczył Pomme ubierać się: to był inny styl niż ten z salonu fryzjerskiego.

Nosiła teraz dzinsy i espadryle jak na plaży (spódnice i lakierowane buty wkładała tylko wtedy, gdy szła do pracy). Dała się przekonać i nie nosiła już stanika pod bluzkami. Jej piersi były za obfite, ale okrągłe i wrażliwe jak powolny rytm tanga. Kiedy w sobotni wieczór wychodziła ze studentem na plac Saint-Germain, robiła sobie loczki przy pomocy lokówki.

A zatem nakreśliliśmy już sytuację naszych postaci. Pomme będzie zajmować się gospodarstwem. Aimery będzie snuł plany. Pomme nie będzie miała czasu uczestniczyć w planach Aimery'ego. To nie jej rola; ona może żyć tylko w czasie teraźniejszym. Jeśli chodzi o plany chłopca, to zwalniają go niemal z jakiegokolwiek aktywności. Pomme i student będą żyli w sztucznym zacisku ich pokoiku, dwa istnienia najzupełniej równoległe. Aimery'ego będzie to satysfakcjonować, ponieważ najistotniejszą sprawą dla przyszłego konserwatora jest to, by mu nie przeszkadzano. I Pomme nie będzie mu przeszkadzać; zrobi więcej; zajmie miejsce między nim a przedmiotami, tak by przedmioty niespodziewanie nie oderwały go od lektur czy medytacji.

Ale najważniejsze jest to, że ona także, a może przede wszystkim ona, znajdzie w tym zadowolenie: kiedy jej przyjaciel, przez uprzejmość czy też odruchowo, będzie udawał, że chce wytrzeć umyty przez nią talerz albo pościelić łóżko, dziewczyna będzie protestować: on nie powinien tego robić; nie musi umieć tego robić; ponieważ to za tę cenę może czytać, studiować, medytować, a dla Pomme płacenie tej ceny stanie się dobrowolnym obowiązkiem i przywilejem. Te skromne czynności składane w ofierze studentowi staną się w pewnym sensie jego wiedzą, jego substancją. Będzie w nim coś z niej. Ona nie pragnie niczego innego.

Wydawało się, że dziewczyna stara się poprzez tę swoją adorację, która miała charakter wyłącznie usługowy, zniknąć w wykonywanych przez siebie zajęciach. To nieustanne usuwanie z drogi siebie i wszelkich przedmiotów, nim jeszcze mógł ich dotknąć, przywodziło na myśl rozstępowanie się tłumów przed nadejściem władcy. Student czuł się

osaczony, przyciśnięty ze wszystkich stron, prześladowany, jeśli tak można powiedzieć, przez coś, czego nie umiał nawet nazwać. Służba porządkowa, jaką pełniła Pomme, była bez zarzutu.

W tej ugrzecznionej i przesadnie skrupulatnej nieobecności młodej gospodyni było coś z niedyskrecji. Chłopak pragnął, by darzyła go mniejszą atencją.

Wkrótce zaczął doceniać długie godziny samotności, chwile, gdy Pomme zarabiała na życie. Nie mógł się od tego powstrzymać, choć wmawiał sobie, że na nią czeka.

I w ten to sposób zaczęła dla niego istnieć. Jej nieobecność przepędzała inną nieobecność.

Wieczór, niebieskawy półcień spowija leżącą na łóżku dziewczynę, pościel jest rozchylona. Jej istnienie niemal promieniuje, to ono wytwarza ową niebieskawą mgłę, to jej brzuch jest tym centrum. Lampa jest małym kawałkiem lodu, na murze, w wilgotnej nocy.

Student wychylony przez otwarte okno patrzy na dach przejeżdżającego autobusu.

Przebrał się w szlafrok: można by rzec, że to damski płaszcz.

Bezruch. Pokój jest muzeum figur woskowych.

Dziewczyna łagodnie zwiera nogi. Młody człowiek zamyka okno. Przez chwilę stoi odwrócony plecami. Lampa cały czas jest, sama.

Było coś przejmującego w tym milczeniu, które mieszkało obok niego. Czy wyrażało jedynie z wstrząsającą, niemalże brutalną prostotą, że żywe istoty są światami nieuchronnie samotnymi, a uściski i najintymniejsze zespolenie to przejaw nigdy nie zaspokojonego pragnienia prawdziwego spotkania? Wydawało się więc młodemu człowiekowi, że każde z jego słów wypowiedzianych do Pomme było nieudanym rendez-vous. Żałował swoich zwierzeń, których w rzeczywistości nikt nie usłyszał.

Ale czasami mówił sobie, że choć Pomme go nie słyszy, on przynajmniej ją rozumie, że tworzą parę przynajmniej dlatego, że jest jedynym człowiekiem, który może ją zrozumieć, mimo braku słów, których ona nie potrafi wypowiedzieć. Dlatego są dla siebie stworzeni, tak jak zakopana gdzieś statuetka istnieje jedynie dla kogoś, może archeologa, kto ją wydobędzie. Piękno Pomme było urodą życia wcześniejszego, zapomnianego pod szczątkami tysięcy istnień, nędznych jak życie jej matki, zanim nie objawiła się w tym ciele i tej duszy doskonale prostej tajemnica wszystkich tych pokoleń wreszcie ocalonych od nijakości: taki był właśnie sens pojawienia się tej, tak czystej dziewczyny. Właśnie tego poszukiwał młody człowiek jako student, łacinnik i pedant. Cóż innego mogło być bowiem przyczyną jego nieustającego lęku, upartego odrzucania współczesnego świata, jeśli nie pragnienie, by pewnego dnia wśród innego piękna spotkać to, które będzie odmienne, które nie będzie zaplanowane, będzie łaską

przypadku, czystym wyłonieniem się, tym, czym właśnie była Pomme. Zadawał sobie jednak pytanie, czy podobnych do niej dziewcząt nie ma przypadkiem wiele. Czy to nie on sam wyposażył ją w to wszystko, czego było mu trzeba i co, jak mu się zdawało, przeczuwał, że w niej istnieje? Pomme zmuszała go do nieustannego i trudnego aktu wiary: czy chciała tej przygody z nim, czy też tylko się jej poddała, podobnie jak wszystkie te, które ulegają gestom innych ludzi, niczego nie oczekując, tylko dlatego, że wysiłek, by się przed tym uchronić, również nie ma sensu? A przyjemność, jaką w tym znajdowała? Czy przynajmniej była częścią jej planu? Nie było to pewne: wydawało się, że przeciwnie, Pomme pierwsza była tym zdziwiona, zmieszana; można by pomyśleć, że chciała się z tego wytłumaczyć.

Aimery mówił sobie, że gdy się rozstaną, Pomme spotka jeszcze dziesięciu albo dwudziestu, albo nawet stu innych mężczyzn i będzie ich kochanką przez wieczór, rok albo nawet przez całe życie, jeśli komukolwiek przyjdzie na myśl, by ją poślubić. Ale żadne z tych spotkań nie sprawi, że obudzi się z samotnego snu.

Myślał z pewnym niesmakiem i zawstyżeniem o dziewczynach, które ulegają pożądanemu pierwszemu lepszemu mężczyźnie - nie jest to spełnienie ich własnego pragnienia, raczej jego ograniczenie, unieważnienie, w ten sposób unieważniają same siebie. I to nie przez obojętność względem drugiej osoby, lecz bardziej przez obojętność względem samych siebie.

Tak więc młody człowiek wyrzucał sobie, że przywiązywał jakąkolwiek wagę do tej istoty, że obdarzał uczuciem coś, co, jak podejrzewał, inni mogli po prostu wziąć.

Jego obsesja tego „czegoś innego” kazała mu brać za złoto zwykłą tandetę leżącą na ziemi, której nikt być może nie zechciałby podnieść. A przywilej bycia jedynym, który naprawdę „widzi” Pomme, dzięki czemu Pomme wydawała się tak cenna, budził w nim czasem upokarzające podejrzenie, że jest głupcem, prawiczkim w ekstazie na widok małej, głupiej gęsi.

Zarzucał Pomme, że niczego od niego nie wymaga i że w ten sposób nie przywiązuje wagi do tego, co chce jej ofiarować. Ale miał też wrażenie, że ona nie pragnie niczego wziąć. Mógł być nieprzyjemny, mógł nie rozmawiać z nią przez cały wieczór i zawsze kończyło się tym, że to on ustępował poruszony własną bezwzględnością, nie czekając, aż Pomme się poskarży i o coś go poprosi. Ta twardość Pomme upokarzała go. Zapalił gitane'a z filtrem.

Teraz unikał spędzania z nią długich, beczynnych chwil z powodu tego właśnie milczenia, milczenia jej, jego i znowu jej. Wieczorem po krótkim posiłku po prostu wracał do swoich popołudniowych lektur, do książek wypożyczonych z biblioteki. Pomme bardzo długo zajmowała się zmywaniem naczyń, jak gdyby bała się siedzieć przy nim beczynnie.

A kiedy kończyła z naczyniami lub bielizną, z uwagą kartkowała książki od Gallimarda, które on polecił jej przeczytać. Jej palce pachniały płynem Paic-Citron.

Pozostawały jeszcze niedziele. Kilka razy Aimery spędził je u rodziny; ale nie chciał zostawiać Pomme (tak, jak nie lubił zostawiać nie zamkniętego okna). Tak więc najczęściej nigdzie się nie ruszał. W ten sposób nie musiał sobie przynajmniej wyobrażać, jak Pomme zupełnie sama, niezdolna nawet, by się nudzić, oddaje się z miłości do niego zajęciom zakrawającym na kpiny. Po każdym powrocie z Normandii znajdował naiwny w swojej prostocie prezent: poduszkę ozdobioną szydełkową robótką albo pieczołowicie naprawione ubranie, które zapomniał wyrzucić poprzedniej zimy. Wstydził się za nią i za siebie: było coś odrażającego w tych żalonych nieporozumieniach. Milczał. Nie umiał sprawić, by pojęła; nie było niczego takiego, co musiałaby pojąć.

Tak więc wolał spędzać niedziele razem z nią; mógł jej pilnować, oszczędzić jej tego upokarzającego poświęcania się albo raczej oszczędzić sobie wyrzutów sumienia.

Ale nie miał jej nic do powiedzenia, a ona uważała, że tak właśnie jest dobrze.

Mimo wszystko nie mógł czytać przez cały dzień czy zmuszać ją do czytania.

Pozwalał jej zająć się trochę gospodarstwem; zresztą nie mógłby jej w tym przeszkodzić. Ale jednocześnie mówił sobie, z pewnego rodzaju litością dla niej i goryczą, że w pokoju, w którym toczy się ich życie, nie ma niczego, co można by wyczyścić, odnowić lub odłożyć na miejsce.

Ponieważ żadne z nich nie miało przyjaciół lub przynajmniej znajomych, którym można by pokazać to „drugie”, nie mogli również szukać ratunku w składaniu lub przyjmowaniu wizyt. Pomme nigdy więcej nie była w mieszkaniu Marylene. A zresztą Marylene nie interesowała się już Pomme.

Tak więc dwoje zakochanych chodziło do kina albo na spacer. Student nie pozbył się zwyczaju głośnego podziwiania odbijającej się w Sekwanie sylwetki Pont-Neuf albo listopadowych mgieł w ogrodach Tuileries. Wydawało się nawet, że jego romantyczna i pedantyczna potrzeba wpadania w zachwyty na widok „pięknych rzeczy” pogłębiła się jeszcze, od kiedy żył z Pomme. Nie umiał kochać po prostu, bez jednoczesnego wygłaszania sądu czy sentencji. Nigdy tak zupełnie nie przestał oddzielać ziarna od plew. To było silniejsze od niego, nieustannie musiał być egzaminatorem, księgowym, lekarzem sądowym. Przyjemność była bez znaczenia; chyba że znajdował ją w tym, by nigdy nie poddawać się zwykłej skłonności (ale czy był w ogóle zdolny do jakiegokolwiek „skłonności”?). Potrzebował raczej przymusu, w każdej chwili nowego zadania.

A Pomme? Czy potrafiła choć trochę odczuwać tak jak on? To także należałoby dokładnie sprawdzić, mimo rosnących podejrzeń studenta, że w gruncie rzeczy nie jest to osóbką wiele warta. Pomme zgadzała się ze wszystkim, co wskazywał jej jako zachwycające. Ale zadawał sobie pytanie, czy to „tak” miało swoje źródło jedynie w jej uległości (być może to nieokreślony strach przed nim kazał jej niepotrzebnie krzątać się przy swoim „gospodarstwie”) i czy Pomme była szczerą.

Ale czyż ona mogła nie być szczerą? Było to częścią jej uległości. Aimery przekonywał się po trochu, że pytanie o szczerą Pomme nie ma sensu. Musiało być w niej coś, co w sposób najzupełniej naturalny kazało jej odczuwać wzruszenie w tym samym czasie, kiedy i on był nim ogarnięty. A zatem to nie mogło być to samo wzruszenie.

Pewnego dnia Pomme mimo wszystko go zaskoczyła. Zwiedzali kościół Saint-Etienne-du-Mont (jak zwykle był to nadzwyczaj zdyscyplinowany spacer pod kierownictwem archiwisty), chciała na chwilę przysiąść („chcieć” czegoś nie leżało dotąd w jej zwyczaju), więc spytał ją, czy czuje się zmęczona. Odparła, że nie, że wszystko w porządku, ale że chce zostać jeszcze chwilę, „ponieważ to miejsce sprawia, że ma ochotę się pomodlić”. Kiedy wyszli, zapytał ją (nie sądził, że kiedykolwiek zada jej to pytanie), czy wierzy w Boga. Jej spojrzenie było rozświetlone nieskończoną czułością, ale tylko prześliznęło się po nim, gdy odpowiadała:

„Ależ tak!” Wydało mu się, że tym razem odpowiedź nie jest adresowana do niego, nie jest posłusznym spełnieniem jego prośby: miał wrażenie, że Pomme rozmawia z kimś innym, kimś, kto stoi za nim i kogo on nie może zobaczyć. Przeszli ulicę

Soufflot obok komisariatu V dzielnicy. Dwaj funkcjonariusze pełniący wartę spojrzeli na Pomme takim samym wzrokiem, wzrokiem pełnym iście żołnierskiej lubieżności.

Oto młody człowiek i dziewczyna twarzą w twarz przy oknie. Są sami w przedziale.

Dziewczyna siedzi na ławce wyprostowana, ze zwartymi kolanami. Wygląda tak, jakby za chwilę miała stawić się przed sądem. Jest nieruchoma jak figurka z terakoty. Młody człowiek nie patrzy na nią. Jego twarz zwrócona jest w stronę okna, za którym przemykają w większości nagie już drzewa.

Owego dnia Pomme ujrziała posiadłości młodego człowieka: zamek, rodziców, zapadłe zakątki świata jego dzieciństwa w głębokich ścieżynach między dwoma rzędami krzewów i jeżyn.

Zamek składał się przede wszystkim z potężnej kuchni z kominkiem jak przedsiónek domu mieszkalnego, gdzie unosił się lekki zapach dziczyzny. Było tam bardzo chłodno, ale i tak cieplej niż gdzie indziej, na przykład w salonach i w pokojach, które Aimery kazał jej

szybko zwiedzić. Poza tym były tam zabudowania gospodarcze, których się nie zwiedzało, i wreszcie gołębnik, który

Pomme wzięła za wieżę obronną.

Ojciec młodego człowieka miał bezsprzecznie posturę oficera kawalerii, lecz ubranie stajennego. Matka młodego człowieka odznaczała się czymś w rodzaju oschłej uprzejmości. Pomme była straszliwie onieśmielona. Poświęciła rano całą godzinę, by wybrać najodpowiedniejszą spódnicę i sweter.

Zjedli obiad. Ojciec Aimery'ego bardzo dużo wypił, po każdym kieliszku mlaskając językiem. Pomme uważała, że jego maniery są raczej grubiańskie, ale jednocześnie zdecydowane. Pod koniec posiłku beknął patriarchalnie dwa lub trzy razy i chwiejąc się odszedł do swoich zajęć.

Aimery rozpałił ogień w kominku (ogarek w grocie). Jego matka przygotowała kawę.

Pomme chciała posprzątać z długiego, dębowego stołu, przy którym jedli wprost z drewnianego blatu. Ale dama powstrzymała ją. Przycisnęła guziczek dzwonka, co spowodowało wtargnięcie jakiejś straszliwie brudnej chłopki, która cisnęła nakrycia do zlewu i złośliwie puściła z góry strumień wody.

Bezkofeinową kawę wypili przy kominku. Pani wyciągnęła się na kanapie w stylu madame Recamier, niezwykle komfort na kamiennej pustyni, jaką było to pomieszczenie. Pomme siedziała wyprostowana na trzcinowym krześle. Rozmawiano.

Matka Aimery'ego zadała kilka pytań dziewczynie, na które odpowiedział młody człowiek. Ale damę interesowały tylko jej własne pytania.

Pomme, skromna i milcząca, słuchała, jak o niej mówiono: rozumiała, że nie powinna wtrącać się do rozmowy. Czuła się jak przedmiot poddawany oględzinom:

Aimery był sprzedawcą, jego matka klientką. Ale między kontrahentami nie było mowy o sprzedaży czy kupnie, o akceptacji czy odrzuceniu. To wszystko tylko dla zabawy. („Jest milutka, ale to głuptas” - podsumowała dama jednym spojrzeniem rzuconym w stronę syna, dodając w tym samym spojrzeniu: „Słyszałeś, co powiedziała?” - „Ależ... ona nic nie mówiła”, odpowiedział syn milczeniem. Był pod wrażeniem surowego i przenikliwego osądu matki).

Potem młodzi ludzie wybrali się na spacer wokół zamku po opustoszałych pastwiskach. Konary wysokich drzew tworzyły rysy w świetle dnia, które rozkruszało się nad lasem opasującym łąki. Pomme ujęła Aimery'ego za rękę, ale on wolał maszerować przed nią wielkimi krokami właściciela posiadłości ziemskiej, ona zaś pochłonięta była tym, by nie zwichnąć sobie nóg w kostkach, ponieważ jej pantofle fryzjerki miały zbyt wysokie obcasy.

Wrócili kamienistą ścieżką, Aimery ciągle w przodzie, Pomme za nim, potykając się o kamyki i bruzdy. Aimery jeszcze raz mówił Pomme o wzruszeniu, które wywołuje jesień, niebo szare lub białe jak kamienne bloki i drzewa, które także kamienieją. Te poetyckie wzruszenia sprawiały, że wokół ust Aimery'ego pojawiał się mały obłoczek mgły. Pomme kochała tę mgiełkę. To była dusza młodego człowieka, z którą usiłowała połączyć swoją, pilnie i w milczeniu.

- Czy ty mnie przynajmniej słuchasz? - spytał nagle. Potem zdecydował się milczeć i przyspieszył kroku w stronę zamku, bezwzględny wobec fryzjerki, która ciągle wykręcała sobie nogi w kostce, pozostając daleko za nim. Wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Kiedy minutę lub dwie później zjawiła się Pomme, powiedział tylko:

- Wracamy!

Obecna przy tym pani domu oświadczyła mocno przesadzając;

- Z chęcią zatrzymałabym was na noc, ale sądzę, że byłoby to niestosowne.

Pomme nie sprzeciwiła się: dwa wolne dni, które dostała od szefowej, będzie mogła wykorzystać innym razem.

Wydawało się, że coś przeszkadza lub zabrania Pomme być inteligentną. Nigdy nie zadawała pytań. Nigdy też nie była niczym zdziwiona ani zaskoczona.

Aż pewnego dnia student spostrzegł, że dłużej nie może już znieść odgłosów, jakie wydaje Pomme myjąc zęby. Uczulenie wzrastało tym szybciej, że chłopak nie miał w tych sprawach żadnego doświadczenia: nie znosił już dotyku jej stóp w łóżku. Nie znosił jej oddechu w nocy.

Pomme musiała się chyba domyślać, że jej obecność irytuje teraz ukochanego.

Stała się bardziej niż zwykle powściągliwa, pracowita i zajęta. Ale Aimery czuł się przez to jeszcze bardziej więźniem, zakładnikiem tej nietaktownej, bezgranicznej pokory, która mu zabraniała zbuntować się, która mu uniemożliwiała sformułowanie choćby najmniejszego wyrzutu. I to budziło w nim głuchy gniew. Ta nieznośna niewinność była jak zadawany mu gwałt, pozbawiający go prawa do buntu.

Nieistnienie Pomme miało nie być jaką wagę.

Wreszcie u sedna tej sprawy był rosnący wstyd, jakiego młody człowiek doświadczał, żyjąc stale w zasięgu tego tak bardzo pokornego spojrzenia, które miało tę moc, że jego, studenta, spychało do poziomu swojej własnej pokory. Lecz tak naprawdę ten wzrok nie jego dostrzegał. Przeszywała go straszliwa myśl, podejrzenie, że Pomme w rzeczywistości żyje z kimś innym, kto znajduje się dokładnie obok niego.

Aimery musiałby zresztą któregoś dnia przyznać, że jego czułość i miłość była tylko transakcją. Częścią kontraktu było nawet założenie, że nie wyznaje szczerze swoich uczuć.

Od pierwszych chwil jego skłonność, nie będąc przecież nieszczerą, zawierała już w sobie wszystkie przyszłe pretensje. Uległ jej bardziej, niż tego chciał: i w chwili gdy ulegał, porażka była nieunikniona. Ale dlaczego nie powiedzieć całkiem po prostu, że porażka stanowiła część jego planu?

Kiedy Aimery zdał sobie sprawę, że uczucia, których doznaje w obecności swojej przyjaciółki (ta tłumiona złość. Ale w stosunku do kogo? Do niej czy do siebie?), są wynikiem rozgoryczenia, tylko niejasno przeczuwał, do jakiego stopnia to uczucie jest mu już bliskie, niemal nierozdzielnie związane z jego „miłością” do

Pomme. I przejście od jednego do drugiego, od miłości do rozgoryczenia, było tylko niedostrzegalną transformacją tej samej materii. Z tego właśnie powodu mógł się od razu poddać rozgoryczeniu. Rozpoznawał w nim jeszcze zbyt wiele ze swojej miłości, dopiero co zniekształconej. Nie mógł więc tak po prostu nienawidzić tego milczenia, tej uległości, tej czystości duszy, która niegdyś tak go urzekła i która nadal go urzekała, kiedy o niej myślał.

Bo potrzebował jej, kiedy jej nie było. Czegoś mu brakowało i tym czymś była ona.

Ale kiedy Pomme wracała z pracy i kiedy wchodziła do pokoju, nie czuł zaspokojenia ani radości. Przeciwnie, jej obecność pozbawiała go tej potrzeby.

Za każdym razem zdarzał się ten sam mały, bolesny i jednak prawdziwy zawód, ta sama niechęć: w ciągu dnia czekał na spotkanie z nią i oto zjawiał się ktoś inny.

Bo też czego się spodziewał?

Ironia tego banalnego losu zawiera się w tym, że Pomme, która przygotowywała kolację i zaczynała jeść dopiero po nim, była akurat taką postacią, jakiej wymagał intymny dramat chłopca. Nie umiała sprostać roli, której tak naprawdę nikt nie potrafiłby sprostać.

Pewnego dnia konserwator przypomni sobie, że niegdyś, kiedy miał dwadzieścia lat i był prawie dzieckiem, poznał dziewczynę tajemniczo banalną. Zwróci wzruszone spojrzenie na łagodnie zatarty, wystylizowany wizerunek ich ulotnego, nierealnego związku. Być może znajdzie upodobanie w przywoływaniu tego dziwnego epizodu ze swojej młodości, ciesząc się przede wszystkim z tego, że nie zatracił się w nim do szczętu. Nigdy nie dowie się, że ta mała spuścizna przeszłości zamknięta w warownej izbie jego tęsknot (z nikim nie będzie o tym rozmawiał, nawet ze swoją żoną) będzie być może tylko wynikiem zręcznej spekulacji: dyskretne oszustwo w czcigodnym i roztroprnym zarządzaniu swoim losem. Nostalgia, a nawet wyrzuty sumienia, będą dla niego zakazanym kapitałem delikatnych i cennych wzruszeń, od którego po trochu będzie pobierał procenty.

Nie śpi. Nie może spać, odkąd patrzy, jak ona śpi. Jej twarz, także i tym razem, jest natchniona. Promienieje wewnętrznym uśmiechem. Nie śni. Nie może śnić o niczym. Uśmiecha się do niebytu, któremu oddaje się jak kochankowi. Wiele razy bezskutecznie usiłował ją zbudzić, stracić z wierzchołka samotności i spokoju, gdzie nie ma dla niego miejsca, o co jest zazdrosny, ale nie ma odwagi sobie tego powiedzieć.

Zbliżały się ferie bożonarodzeniowe. Miał pojechać do Normandii. Musiał załatwić wszystko przed wyjazdem.

Wiele razy w myślach wzywał Pomme do siebie. Rozmawiał z nią już to łagodnie, już to zdecydowanie jak z małym dzieckiem, któremu każe się iść wcześniej spać.

Ale czy można inaczej? Tłumaczył jej, że to dla ich wspólnego dobra. Wybrali fałszywą drogę. Ona nie mogła być z nim szczęśliwa. Ostatecznie, nie należeli do tego samego świata. To, co odpowiadało jednemu, nie mogło zaspokoić potrzeb drugiego i vice versa. Zupełnie różne rzeczy sprawiały im przyjemność. Urodzili się w zbyt dużej od siebie odległości. Zresztą on nawet nie wiedział, czego ona od niego oczekiwała. Nie zdołał się tego dowiedzieć. Prosił o wybaczenie.

Żałował. Nie powinien był dopuścić, by sprawy zaszły aż tak daleko. Jest za to odpowiedzialny. Chciał, żeby go znienawidziła, żeby mu nawet powiedziała, że sobie z niej zakpił. I choć to nieprawda, zrozumiałby, że ona może tak myśleć. Miała nawet prawo nim pogardzać.

W rzeczywistości ich zerwanie było znacznie prostsze. Oświadczył, że chce ją opuścić. Nie było w tym brutalności, ale nie uznał też za konieczne, by uszanować wrażliwość dziewczyny, ponieważ w gruncie rzeczy podejrzewał, że jest niewrażliwa. Szczególnie, gdy usiłował wyobrazić sobie, jaka będzie jej reakcja na wiadomość o rozstaniu: nie potrafił koniec końców wyobrazić sobie żadnej.

Dziewczyna odczepi się od niego bez żadnych komplikacji.

Ona nie zrobiła z tego sprawy. Powiedziała tylko: „Ach! Tak!”, a potem:

„Wiedziałam to”. Zamknęła pudełko Curemail, wypłukała gąbkę i wytarła ręce. Nie protestowała. Nie płakała. A Aimery zamiast cieszyć się, że może rozgrzszeszyć się tak tanim kosztem, czuł jedynie to, czego już doświadczył, wzrastającą urazę w stosunku do tej dziewczyny, którą uważał za rodzaj prymitywu.

Ale nie mógł tak zwyczajnie zlekceważyć zła, jakie wyrządził Pomme. O nic go nie prosiła, być może z wyjątkiem tego, by przyjął ofiarę, jaką uczyniła mu z samej siebie: zdawał sobie teraz sprawę, że wymusiła na nim coś wielkiego. A jemu zabrakło odwagi, by powstrzymać dziewczynę na krok przed złożeniem siebie w ofierze; pozwolił jej na to.

Pozwolił, by ta mała świeczka spalała się przed nim i na jego cześć, nie troszcząc się o nią bardziej niż o żarówkę, którą zapomniał zgasić przed zaśnięciem.

To było tak jak w dniu ich spotkania, ich pierwszej rozmowy, pierwszego wspólnego spaceru; to było jak w dniu, kiedy po raz pierwszy się kochała. Na każdym z tych etapów (ale on wówczas nie wiedział, że były to „etapy”) zdawał sobie po prostu sprawę, że jest „za późno”, by postąpić inaczej.

A więc pokonywał etap, z pewnego rodzaju wyrzutami sumienia, o których szybko zapominał. Za każdym razem oceniał jednakże, że zło, jakie będzie musiał wyrządzić dziewczynie potem, będzie jeszcze większe.

Ale wiedział także, że ona nie będzie się bronić, że się nie zbuntuje, że nie pokaże nawet, że cierpi. I litość, jaką młody człowiek zaczął już odczuwać, ulotniła się natychmiast pod wpływem gniewu i pogardy.

Gdyby Pomme się broniła, gdyby wypowiedziała najmniejsze bodaj słowo rozgoryczenia, gdyby wstrząsnął nią najmniejszy bodaj szloch, nawet powstrzymywany, Aimery, być może, zgotowałby jej inne zakończenie. Bardziej by ją cenił (nie różniłaby się od niego tak bardzo). Mógłby uczynić z ich rozstania coś bardzo ważnego i Pomme znalazłaby przynajmniej pocieszenie w bólu.

Wielokrotnie, w czasie gdy wkładała swoje rzeczy do walizki, miał nadzieję, że się poskarży, że będzie mu robić wyrzuty. Ale nic takiego się nie stało. Spytała go tylko, czy mógłby jej dać jedno z pudełek na książki, które opróżniła z zawartości, by ułożyć rzeczy, które nie zmieściły się w walizce. Przewiązała pudło sznurkiem i poszła sobie.

Będzie przechodził obok niej, tuż obok, nie widząc jej. Ponieważ należała do tego rodzaju istot, które nie dają żadnego znaku, które trzeba cierpliwie wypytywać, na które trzeba umieć skierować wzrok.

Z pewnością była to dziewczyna najpospolitsza z pospolitych. Dla Aimery’ego, dla autora tych stronic, dla większości mężczyzn są to istoty, które się spotyka, do których można się na chwilę przywiązać, ale tylko na chwilę, ponieważ uroda i spokój, jakie w nich znajdujemy, nie są tym, czego oczekujemy dla siebie: a wszystko dlatego, że odnajdujemy je tam, gdzie nie spodziewaliśmy się ich znaleźć. Są to ubogie dziewczęta. One same wiedzą o tym, że są ubogie. Ale ubogie jedynie tym, czego nie chcieliśmy w nich odkryć. Jaki mężczyzna nie popełnił w swoim życiu dwóch lub trzech podobnych zbrodni?

Wróciła do matki gdzieś w okolicy Suresnes lub Asnieres. Był to budynek z czerwonej cegły, stojący między dwoma budynkami z żółtej cegły. Siedząc na czarnej kanapie ze skaju, nie podjęły rozmowy o młodym człowieku. Po prostu

Pomme wróciła. Ułożyła rzeczy w swoim pokoju. Wieczorem obejrzała telewizję.

Teraz Pomme wiedziała już na pewno, że jest brzydka. Była brzydka i gruba. I godna pogardy, ponieważ ten brak urody był tylko zewnętrznym odbiciem jej wewnętrznej niegodziwości, zrozumiała to dobrze, kiedy Aimery odesłał ją z powrotem do domu.

Najtrudniej było wyjść, być wśród innych ludzi, na ulicy, w metrze, w salonie fryzjerskim. Dobrze widziała, jak ludzie na nią patrzą. Doskonale słyszała, jak pękają ze śmiechu za jej plecami. Przyznawała im rację. Było jej jedynie wstyd.

Zresztą Marylene już jej to kiedyś powiedziała: „O la, la, masz cellulitis”.

Uszczypnęła ją boleśnie w pierś, talię, biodra. Teraz przypominała sobie tę uwagę Marylene. Tak, jakby Marylene była tuż obok niej, za plecami, po to, by jej powtórzyć, że jest gruba.

Przypominała sobie także, że Aimery wielokrotnie wahał się i był pełen rezerwy, kiedy miał ją dotknąć. Przed samym rozstaniem budziła już w nim pewnie obrzydzenie. Wystarczyło, że o tym pomyślała, a robiło się jej gorąco; zalewała ją fala wstydu. Pociła się. Zwłaszcza pod pachami. Stawała się jeszcze bardziej odrażająca.

Matka i córka spędzały niedziele razem, w ciężkim tete-a-tete. Po południu matka zabierała córkę na spacer, by ta zaczerpnęła powietrza i rozerwała się, żeby nie mizerniała. Córka ciągnęła matkę ciągle tą samą, ustaloną przez siebie trasą, prowadzącą najbardziej wyludnionymi ulicami przedmieścia. Zaczynało się robić chłodno. Pomme owijała się płaszczem. Spieszno jej było wrócić do swojego pokoju.

Tam nikt nie musiał się obawiać, że ją zobaczy. Posłucha filmu w telewizji z za przepierzenia. Będzie usiłowała przespać się aż do wieczora.

Pomme czuła, że matka ma do niej żal. Nie robiła jej wyrzutów, ale ona także musiała się wstydzić. Najpierw była Marylene. Potem Marylene odwróciła się od

Pomme. Następnie zjawił się młody człowiek; i on także odwrócił się od Pomme.

Matka nic nie mówiła. Gdyby tylko mogła powiedzieć, że Pomme niczemu nie jest winna. Ale nie wiedziała, jak to wyrazić. Mleczarka zdawała sobie sprawę z tego, że jej córka cierpi, i przede wszystkim nie chciała zadawać jej więcej bólu. A więc nic nie mówiła. Bała się tego wszystkiego, co mogłaby powiedzieć.

Na przykład, że pewnego dnia z pewnością spotka chłopca, który będzie należał do jej świata. Pobiorą się. To będzie skromny chłopiec, żaden student, ponieważ

Pomme też jest skromna. Nie trzeba myśleć o innych sprawach.

A ślub Pomme mógłby wyglądać tak:

Odbylby się w jej wsi, na Północy, której nie powinna była nigdy opuścić.

Najpierw merostwo; świadkowie świeżo ostrzyżeni, czerwoni, rozgorączkowani; narzeczony leciutko usztywniony. Potem kościół, bo Pomme byłaby w bieli. Miałyby białe rękawiczki, bardzo delikatne, bardzo długie. Miałyby kłopoty ze ściąganiem ich w kościele. Nie nałożyłyby już tych rękawiczek, żeby nie zakrywać obrączki. Potem schowałyby je w kartonowym pudełku po butach, razem z wiązką kwiatów, którą trzymała w ręku.

Następnie poszliby na obiad. Obiad ciągnący się aż do nocy, na tarasie bistro, pod pomnikiem ku czci poległych. Na początek muszle Saint-Jacques.

Ojciec pana młodego sporo by wypił. Jego żona zachęca go. „Udajesz” - mówi. Raz jeszcze napełnia mu szklankę. Żeby był pijany tak jak inni! Ale on jest przyzwyczajony.

Przetrzyma.

No i gotowe. Nieobecni duchem mężowie przebywają gdzieś w swoim dalekim świecie, gdzie wszystko jest miękkie i śliskie. Kobiety nareszcie przez chwilę są wdowami.

Są między sobą. Niewyszukana przyjemność. Dzieci również są między sobą, w natarciu na pomnik ku czci.

Pan młody nie jest pijany. Nie lubi wina. Nudzi się. Długo trwa ta uroczystość.

Nie ma nikomu nic do powiedzenia.

U schyłku popołudnia wszyscy przenoszą się do matki Pomme na wina musujące, piwo i ciasta. Mężowie odzyskują jednak swoje żony. Trzeźwieją. Nie na długo, lecz tych niebezpiecznych momentów oprzytomnienia jest za dużo pomiędzy jednym a drugim kieliszkiem wina. Kobiety ciągną ich za sobą skrajem chodnika przy szosie, każda swojego ślepcę czy paralityka; dzieci idą za nimi, w pewnej odległości, ponieważ jest to pora szturchańców, dobrze o tym wiedzą.

Siadają. Parami, dzieci dookoła. Każda rodzina na dwóch krzesłach, ramię przy ramieniu. Pary przyglądają się sobie i być może zadają sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie możliwe coś innego, czy w ogóle coś innego byłoby do pomyślenia.

Nie! Nie zadają sobie żadnych pytań. Tańczą. Pora razów minęła. Wszyscy są zadowoleni.

W swoim kącie prababka Pomme po cichu szepce sprośności. Prababka wcale nie jest zdzienniała! Przygląda się młodym w różnym wieku z oddalenia swoich zaświatów, które w niej szemrzą.

Dzień się kończy. Nie piją już i nie tańczą. Uspokoili się. Jednak wszyscy z uporem trwają w geście zabawy; podobnie jak rowerowe koło, które kręci się jeszcze po wypadku. Kobiety zaczynają sprawdzać, która godzina. Dzieci wyganiają się kuksańcami, by poszły się

bawić. Dorosłe osobniki płci męskiej podnoszą się wszystkie naraz, by wysikać się na zewnątrz, pod murem. Kobiety wykorzystują to, by zebrać dzieci i wyjść.

Taki bez wątpienia mógłby być ślub Pomme. W całej tej historii nieważne jest to, czy ślub się odbył, czy nie, czy żal nam miłości, czy nie, smutkiem napawa to, że być może nigdy nie ma czego żałować. Właśnie taka myśl musiała skrycie dosięgnąć Pomme z głębi tego, co my nazywamy jej smutkiem.

Po raz pierwszy matka i córka chciałyby porozmawiać, tak naprawdę. Obie tłumili łyzy, którym pragnęły dać łagodny upust, ale łyzy, podobnie jak słowa, nie przychodziły w dostatecznej ilości. Zamiast ośmielić się i po prostu poszukać wsparcia u matki, która tak bardzo chciała go jej udzielić, Pomme wysilała się, by w swoim upodleniu zachować wobec niej pełną godności postawę. Z jedynej powierniczki, jaką jej dał los, zrobiła świadka, sędziego, którego milczenie bała się interpretować: mogło być tylko wyrzutem.

U schyłku zimy Pomme zaczęła chudnąć, najpierw niedostrzegalnie, potem w sposób widoczny: miała straszliwie bladą twarz, prawie przezroczystą w miejscu kości policzkowych. Mleczarka próbowała wszelkich podstępów, by zmusić córkę do jedzenia, początkowo zdając się na jej dawne łakomstwo, które, jak sądziła, niebawem powinno powrócić. Potem pogodziła się już z mdłościami, jakie chwytały Pomme już przy pierwszym kęsie.

Dziewczyna odżywiała się wyłącznie mlekiem, owocami i kawałkami cukru. To nie była dieta; po prostu inaczej nie mogła. Mimo niepokoju mleczarka musiała więc zaakceptować to budzące niesmak zachowanie, wiedząc, że nie jest udawane.

Wieczorem przygotowywała córce kompoty; dodawała łyżeczkę śmietany do szklanki z mlekiem, które miało stanowić posiłek. I gorąco się modliła, by to „przeszło”, mimo potajemnie dorzuconego składnika. W każdym razie pojęła, że w owym czasie jedyną radością Pomme było to, że chudła.

Oczywiście, oczywiście, dobra kobieta mówiła sobie, że z pewnością jej córka popadnie w chorobę. Ale czy to znaczy, że się powinna tym dodatkowo niepokoić?

Mleczarka zakazała sobie wszelkich uwag na ten temat. Nawet gdyby wołał Pomme było umrzeć (czyż w gruncie rzeczy nie tego właśnie pragnęła?), matka nie sprzeciwiła się jej woli. Zbyt dobrze wiedziała, czym jest nieszczęście, by nie uszanować nieszczęścia Pomme aż do końca. To do takich ludzi mówi się potem:

„Jak to? I nic pani nie zrobiła? Widziała pani, jak ona umiera i nic pani nie zrobiła?”.
Ach, co za podłość!

A potem pewnego dnia, około czterech miesięcy od początku głodówki, Pomme źle się poczuła w drodze do sklepu, do którego upierała się chodzić (mimo że właścicielka mówiła jej, by poszła do lekarza i trochę odpoczęła! Ale Pomme

„czuła się bardzo dobrze” i była nawet bardziej zaaferowana niż zazwyczaj, a w ostatnim czasie miała nawet w sobie pewną nerwową radość).

Upadła nagle, na środku przejścia dla pieszych. Na parę minut zrobił się korek, ponieważ pierwszy samochód (pojazd A), ten, który wyhamował tuż przy Pomme, nie mógł oczywiście ruszyć dalej. Musiał poczekać, aż droga będzie wolna. Kierowcy z tyłu

(pojazdy? etc.) niecierpliwili się. Trąbili. Typ z pojazdu A dawał gestami do zrozumienia, że nic nie może na to poradzić.

Dwie kobiety podbiegły do Pomme i usiłowały zmusić ją do powstania. Ale Pomme była bezwładna. Nie można jej było zmusić do ruchu. Kierowca z pojazdu A wysiadł, by pomóc kobietom podnieść Pomme. Przeniesiono ją na chodnik. Mężczyzna wsiadł do samochodu wyposażonego w światła przeciwmgielne i elektryczny odgarniacz lodu.

Ruszając, włączył radio i przyglądał się, jak rozkłada się jego automatyczna antena; skierował myśl ku nieszczęsnej dziewczynie rozciągniętej na bruku, lecz po chwili jego uwagę zaprzątnęły baranie skóry, którymi wyłożone były siedzenia.

Każda z tych skór stanowiła czworobok o wymiarach około 50cm x 120cm. Były przytwierdzone do oparcia siedzeń za pomocą gumy w ciemnym kolorze. Futro na przednim siedzeniu, tym obok kierowcy, zdradzało pewne zużycie w dwóch miejscach, które odpowiadały ramionom i pośladkom pasażera (albo pasażerki).

Kierowca rzucił okiem na szybkościomierz, którego biała strzałka przesuwająca się wachlarzykowato z lewa na prawo, po zielonych cyferkach wskazujących szybkość od 20 do 200 km/godz.

Poza tym tablica rozdzielcza była wyposażona w obrotomierz i zegar elektryczny, który spóźniał się około 10 minut. Cyfry w obrotomierzu, który, podobnie jak i cały samochód, był zagranicznej produkcji, umieszczone były w półkolu, tak jak w szybkościomierzu, ale ich wartości były znacznie mniejsze - od 10 do 80. Obszar zawarty między „60” a „80” odcinał się piękną czerwienią od jednolicie szarego tła całego przyrządu mierniczego. W środku koła można było przeczytać tajemniczy napis: „RPM x 100” i tuż pod nim coś w rodzaju podpisu: „Veglia Borletti”.

Przez przednią szybę pojazdu, nachyloną pod kątem około 130° do maski (pod którą umieszczono sześciocyndrowy silnik), kierowca widział, że droga przed nim jest już teraz wolna.

Pomme zaprowadzono do szpitala. Nie musimy wiedzieć, czy będzie żyła, czy też umrze, prawda? W każdym razie jej los się dopełnił. Ona sama o tym zdecydowała w dniu, w którym odmówiła jedzenia, w którym przestała cokolwiek oczekiwać od świata, tak mało wobec niej szczodrego.

Kiedy zmuszona była opuścić matkę, ponieważ przenoszono ją do innego szpitala, daleko na prowincję, poprosiła ją, by zechciała pójść do młodego człowieka, bo czuła się wobec niego winna. Czuła, że on się z nią nudził i że często go irytowała. Nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie było. Chciałaby bardzo, żeby młody człowiek źle jej nie wspominał.

Matka Pomme wypełniła zlecenie w następnym poniedziałek. Ale student nie mieszkał już w dawnym pokoju. Dozorczyńni nie wiedzieli, gdzie obecnie przebywał. Matka

Pomme mogła jednak wysłać słówko do jego rodziców. Dozorczyńni dała jej ich adres w Normandii: Ust na pewno dotrze do młodego człowieka.

I rzeczywiście, kilka dni później Aimery de Beligne otrzymał list z przeprosinami od Pomme i mleczarki.

Pozostaniemy jeszcze przez chwilę z przyszłym konserwatorem: przyjrzyjmy mu się, jak czyta list, a potem oddalmy się, pozostawiając go jego samotności. Cokolwiek się zdarzy, Pomme będzie mniej martwa niż on. Wśród ruin jej ciała podobnego do małej kupki suchego drewna twarz młodej topielicy nie ulegnie zmianie. I jeśli można tak powiedzieć, promieniować będzie swoim smutkiem i niewinnością na wieczność.

Przyszły konserwator zainstalował się w skromnym umeblowanym pokoju naprzeciwko

Panteonu. Urzekł go kontrast między tym nowym pokojem a zabytkiem z naprzeciwka.

Wsparty na łokciach w oknie, widział w przejmującym skrócie to, co mogłoby być jego losem. O własnej śmierci często myślał w ten sposób. To wcale nie było przerażające: jego dusza, świeżo wykluta z cielesnej poczwarki, trzepotała nad żalobnym orszakiem. Podziwiał ład panujący w kondukcji. Byli przedstawiciele

Instytutu (rozpoznawał swoją szpadę, swoje odznaczenia na poduszce z czarnego aksamitu, którą niósł dożywotni sekretarz Akademii). Był minister kultury, liczni parlamentarzyści, artyści, pisarze. I wreszcie, trochę dalej, czarne, wspaniałe morze tłumów.

W gruncie rzeczy zerwanie z Pomme przyniosło mu ulgę. Mógł się oddać marzeniom o sobie samym z mniejszą powściągliwością, bez tej milczącej, niedyskretnej negacji ze strony dziewczyny.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest próżny: ta radość, jaką odczuwał, wyobrażając sobie na przykład, co ludzie mówią o nim, kiedy go nie ma. Majak o własnym pogrzebie był w pewnym sensie tylko tego faktu apoteozą. Ale mówił sobie, że ta próżność - infantylna (być może nawet trochę śmieszna?) - jest tylko odwrotną stroną wielkiej nieśmiałości, która kazała mu wątpić w siebie nawet w chwilach najbardziej szalonych marzeń.

Bo miewał również godziny przygnębienia i niesmaku. Czuł cherlawość swej duszy i ciała. Jego domniemana wielkość była rewanżem, potrzebą.

Rozstał się zatem z Pomme bez wielkich wzruszeń; miał to sobie trochę za złe: to także go pomniejszało, potwierdzało jego tuzinkowość. Nie było w nim miejsca na wielkie cierpienie: zakatarzył się jedynie podczas wizyty u rodziców. Po powrocie do Paryża kaszlał i obficie łzawił. Nie mógł nawet czytać, ponieważ biały papier i światło wyciskały mu łzy z oczu. Było to wielkie cierpienie laryngologiczne. Wziął aspirynę i pomyślał, że może w tej samej chwili Pomme połyka tabletki nasenne. To go upokarzało. Zazdrościł Pomme: zazdrościł jej wielkich uczuć, które zabrała ze sobą w swojej małej walizce.

Oddalił jednak wątpliwości, mówiąc sobie, że dla niego w każdym razie nie nadeszła jeszcze pora, by poszybować 'nad własną ceremonią pogrzebową.

W gruncie rzeczy zarzucał Pomme, że wciągnęła go w świat, w którym przedmioty nad nim królowały. Kiedy myślał o Pomme, widział ją zawsze ze szczotką, otwieraczem do konserw albo w różowych gumowych rękawiczkach. Właśnie dlatego chciał opuścić ich pokój, by uciec od przedmiotów, które Pomme tam zgromadziła.

Ale w nowym pokoju odnalazł te same przedmioty albo prawie te same. Była tu umywalka, wyszczerbiony kubek do mycia zębów... owe przedmioty obserwowały go z rodzajem niemej, uporczywej ironii. Uciekał do swoich książek: ale książki również mogły się podstępnie przekształcać w przedmioty, kiedy gromadził je na stole. Wreszcie była także sprzątaczką ze ścierką i kubłem. Mijał ją rano na podeście schodów, Ona także, kiedy przechodził obok niej, przypatrywała mu się wzrokiem przedmiotu. Ach, nie zawsze dane mu było śledzić swój grzeb w

Panteonie!

I nagle pewnego wieczoru doznał olśnienia. Znalazł sposób na położenie kresu sprzeczce ze sprawami tego świata. Będzie pisał! Będzie pisarzem (wielkim pisarzem). Pomme i jej przedmioty wreszcie będą na jego łasce. Będzie nimi dysponował wedle własnej woli. Zrobi z Pomme to, o czym zawsze marzył: dzieło sztuki. Wreszcie, pod koniec opowiadania, da do zrozumienia że naprawdę ją kiedyś spotkał. Znajdzie przyjemność w wyznaniu, że nie umiał jej kochać.

Przeobrazi swój dzisiejszy wstyd i małe wyrzuty sumienia: jego słabość stanie się „dziełem”. Dla czytelnika będzie to chwila silnego wzruszenia.

Zapał w senne odrętwienie w samym środku tego literackiego koktajlu, otoczony przez dziennikarzy, przy cichym pomruku kamer. Poczul krótki przeblysk wdzięczności wobec Pomme, co omal nie wyrwało go ze snu.

4

Kiedy Koronczarka i ja rozstawaliśmy się, nie wyglądało to jak zerwanie.

Nie mówiliśmy na ten temat. Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości. Bardzo lubiłem Koronczarkę. Żyliśmy obok siebie, ale każde z nas miało inny styl życia, inny rozkład zajęć; nie widywaliśmy się zbyt często. Nigdy się nie kłóciliśmy.

Nie było powodów do kłótni. Po prostu opuściliśmy nasz pokój. Ja na rok czy dwa wyjechałem na prowincję. Koronczarka wróciła do siebie. Obiecaliśmy sobie często się widywać, ale nie zobaczyliśmy się więcej. Ponieważ nie było powodów, by znów się spotkać. Bardzo szybko stało się to oczywiste. Przynajmniej dla mnie. Ale, jak mi się zdaje, ona również nigdy nie szukała okazji, by się ze mną zobaczyć.

Rozstaliśmy się, opuszczając nasz pokój. Doskonale pamiętam ten pokój. Niedaleko Trocadero. Był częścią mieszkania, które należało do starej, rosyjskiej damy.

Rosjanka z pewnością nigdy go nie odnawiała; z czasem obrazy wrosły w ściany, a zasłony stanowiły jednolitą całość z oknami. To nie był brud, to była skamielina.

Kurz nie znikał już, był jak kamień. Trzeba było to wszystko odnowić. Pomalowałem swój pokój na biało, kładłem farbę wprost na gruzełkowaty tynk.

Miałem przywilej poruszania się po wszystkich zakamarkach katakumb należących do starej, ponieważ darzyła mnie czymś w rodzaju sympatii. Byłem niekłopotliwym lokatorem. Płaciłem regularnie dzięki lekcjom łaciny, jakich udzielałem, a którym ona często przysłuchiwała się pod drzwiami. Sama uczyła dzieci z dzielnicy rosyjskiego, ale jak mi się zdaje, nie pamiętała już zbyt dobrze gramatyki. Nie znała również francuskiego, a przynajmniej niezbyt biegle. Moja gospodyni nie znała już żadnego języka, w którym mogłaby się w pełni wypowiedzieć. Nauczyła się wszystkich po trochu. I mieszała je. Nie miało to jednak znaczenia, bo nie lubiła dużo mówić. Interesowały ją głównie cyfry. Ta prawie dziedzinniała kobieta wspaniale sobie radziła z nowymi frankami. Nie było obawy, że się pomyli. Znała słowa, które trzeba, i znała ich zastosowanie!

Tak więc lubiła mnie bardzo. Pokazała mi wszystkie pokoje, serwetki i gerydony.

Ileż ona posiadała przedmiotów! I wcale nie były zakurzone. Pewnie każdego ranka odkurzała swoje bibeloty, równocześnie je przeliczając.

Kiedy Koronczarka wprowadziła się do mnie ze swoim skromnym bagażem, bałem się, że babsko się zeźli, że podwyższy czynsz albo że mnie zamorduje. Ma się rozumieć, że zapowiedziała mi raz na zawsze: żadnych wizyt, żadnych kłopotów, zwłaszcza żadnych dziewczyn! Co najwyżej uczennice liczące nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat. Jeśli któraś była starsza, dama spędzała godzinę pod drzwiami.

Czułem, jak łypie okiem przez dziurkę od klucza.

Koronczarkę przyjęła dość dobrze, co mnie naprawdę zaskoczyło. Posunęła się aż do tego, że pozwoliła jej korzystać ze swojej kuchni. Dobrze się rozumiały. To była... idylla!

Próbowała za wszelką cenę mieszać się w nasze życie. To była jej pasja, jej przyjemność, jej najwyższa radość. Wieczorem niemal włamywała się do naszego pokoju. Chciała wiedzieć, czy wszystko w porządku, czy przypadkiem nie pokłóciliśmy się (oczywiście, to nic poważnego, wszystko samo się ułoży, nie miałem racji unosząc się). My w każdym razie nigdy się nie kłóciliśmy i wszystkie sprzeczki wymyślała ona sama.

Dwa lub trzy razy chcieliśmy zaprosić ją do nas na kolację, ba, prosiliśmy ją nawet. Ona jednak nigdy nie przyjęła naszego zaproszenia. Mimo wszystko byliśmy tylko jej lokatorami. A nie przyjaciółmi.

Wydaje mi się, że miała nadzieję, że Koronczarka i ja pobierzemy się. Pewnego dnia powiedziała, że gdybyśmy chcieli, mogłaby nam dać inny pokój. Miała dość miejsca, miała go nawet za dużo. Zostałoby jej jeszcze pięć czy sześć pomieszczeń na jej gerydony, ikony, fantomy. Potem wielokrotnie brała

Koronczarkę na stronę i pytała, „czy uważa”.

Chętniej rozmawiała z Koronczarką niż ze mną. Ja ciągle kazałem jej powtarzać to, co powiedziała, a stara Rosjanka nie lubiła, gdy ktoś udawał, że jej nie rozumie.

Nie lubiła powtarzać. Koronczarka wszystko rozumiała. Z nią nie groziły żadne nieporozumienia; doświadczyłem tego.

Rosjanka pokazała jej nowe ściegi. Koronczarka chciała się ich nauczyć. Nie dostrzegała w tym aluzji. Nigdy nie dostrzegała zła. Razem robiły serwetki. Piły bardzo mocną herbatę. Jadły ciasteczka. Opowiadały sobie jakieś historie, pytam tylko, w jakim języku!

Kiedy zakomunikowałem starej Rosjance, że odchodzimy, musiał to być dla niej cios. Sądzę, że przywykła do nas, do naszej obecności, i że żałowała nas bardziej niż naszego czynszu. I rachunków za gaz, które płaciliśmy, od kiedy udostępniła nam swoją kuchnię.

Chciwość, która kazała jej gromadzić wokół siebie wszystkie te bibeloty i rozmaite przedmioty, bez wątpienia była dla niej sposobem obrony przed samotnością i ogromem tego mieszkania. Jeśli ktokolwiek naprawdę cierpiał z powodu naszego odejścia, to znaczy zerwania między Koronczarką a mną, to osobą tą mogła być tylko stara Rosjanka.

Później widziałem Koronczarkę tylko raz. Było to wiele lat potem. Ciągle uczyłem łaciny. Potem także literatury. Piętnaście godzin tygodniowo, plus trzy, by spłacić ciężący na moim mieszkaniu dług. Nie miałem powołania, by robić co innego.

I oto pewnego dnia dostałem list. Przyszedł z Asnieres czy z Suresnes, już dobrze nie pamiętam. Jakaś osoba pisała, że „jej córka była chora”, ale teraz czuje się lepiej i ma „prawo do odwiedzin”. Wyrażała nadzieję, że jeśli mi czas pozwoli, zechcę się z nią zobaczyć.

Przez dobrą chwilę, przynajmniej przez minutę, zadawałem sobie pytanie, o kogo i o co chodzi. Moja pamięć była jak butelka starego winnego octu, którą się nagle potrząsa. Osad unosi się, wzburza, płyn traci przejrzystość. W końcu udało mi się uporządkować wspomnienia. Matkę Koronczarki widziałem tylko raz, ale jej styl był łatwy do rozpoznania. Ten sposób wyrażania się, ta infantylna kaligrafia, to mogła być tylko ona. Ale dlaczego napisała do mnie? Nie widziałem

Koronczarki od lat. Mogłem zatrzeć się w jej pamięci, tak jak ona zniknęła z mojej.

Czułem się tak, jak gdybym rozpoznał swoją własną twarz w albumie ze zdjęciami jakiejś zupełnie obcej mi rodziny: tu dziadek, a tu siostrzeniczka podczas pierwszej komunii, a tam cała rodzina zebrana z okazji ślubu najstarszego syna.

I nagle pośród tych wszystkich nieznanomych i obcych postaci twoja własna twarz!

Tak, nie ma wątpliwości, to ty we własnej osobie! Chyba że... Więc pytasz: „A ten to kto? - Och, to daleki kuzyn. Mieszka za granicą”. Bogu dzięki, przewracamy stronę! I oto nowe postacie, całkiem nieznanne, doskonale obojętne. To było tylko złudzenie, zwykłe podobieństwo.

Zresztą jesteś jedyną osobą, która je dostrzegła.

Mimo wszystko jednak ten list był niezbitym dowodem, że w ten czy inny sposób figurowałem w owym albumie i w pamięci tej rodziny. A zatem udałem się pod wskazany w liście adres.

Szpital składał się z trzech czy czterech pawilonów usytuowanych wśród drzew.

Położony był o 30 km od stolicy w kierunku Chartres. Był czerwiec; odwiedzający i chorzy siedzieli na ławkach w parku. Ja i Koronczarką usiedliśmy także.

Mogłoby się wydawać, że jestem z nią na wakacjach, w jakiejś miejscowości uzdrowiskowej, pośród innych kuracjuszy (niektórzy byli w szlafrokach). Ale miałem przed

sobą tę patetyczną chudość i hipnotyczny wzrok. Był rodem z innego świata niż klomby kwiatów i cień, który rzucała gałąź łagodnie chwiejąca się tuż nad głową Koronczarki. Zapytałem ją, od kiedy tu jest. Od wiosny. A przedtem?

Przedtem, nic. Jedyne choroba. Nie mogła jeść, czy to rozumiem? To było silniejsze od niej. Bardzo chciała, ale nic jej nie przechodziło przez gardło.

To była dziwna choroba. Tak więc umieszczono ją w szpitalu, najpierw w Paryżu, a potem tu. Teraz wszystko było w porządku; nie powinienem się przejmować. Ale ja nie tym się przejmowałem lub przynajmniej nie tylko tym. Nalegałem: „A przedtem?”

Co się wydarzyło przedtem?” Powtórzyła: „Nic”.

I właśnie to „nic” musiałem pojąć: całą tę przestrzeń zawartą między naszym rozstaniem a dziś, w której ogromna samotność musiała jątrzyć to ciało nie należące już do tego świata.

A właśnie, że nie! Przecież wszystko było takie jak dawniej. Nawet ta trudność, jakiej doświadczałem mówiąc, podczas gdy milczenie Koronczarki pogłębiało się w trakcie mojej wypowiedzi. Jej wygląd fizyczny uległ głębokiej przemianie, ale czułem, w miarę jak wspomnienia docierały do mojej świadomości, że Koronczarka nie zmieniła się. Była tak samo jak dawniej nieobecna. Nie wydawała się smutna z powodu pobytu w tym szpitalu (ale też nigdy przedtem nie widziałem jej smutnej).

Po prostu była obca, inna, była więźniem, ale nie szpitala czy swojej „choroby”, ale odległej krainy, której nigdy nie opuściła. Czy na tym właśnie polegało jej szaleństwo?

Myślałem o tym „nic”, o którym mi powiedziała, i starałem się je mimo wszystko wypełnić, może jakimiś innymi przygodami, podobnymi do tego, co razem przeżyliśmy. Ile było tych „nic”, z których każde mogło zakończyć się w podobny sposób: bez huku i bez widocznych oznak żalu? Aż do dnia, kiedy Koronczarka przestała przyjmować pokarm; kiedy odwróciła głowę od brzydkiej i wyschniętej piersi swojego żywota? Tak więc jej odcięcie się od świata było totalne i całkowicie odpowiedzialne. To, co dotychczas działo się tylko mimo woli, przekształciło się w świadomą odmowę. Odmowę ze strony ciała, pełną niemej szczerości.

A teraz był „protokół” psychiatryczny, pawilony i te niedomówienia w rozmowach toczonych pod drzewami w porze odwiedzin: odosobnienie Koronczarki było tylko wynikiem izolacji zupełnie innego rodzaju. Zdążyła już przyjąć tę nieśmiałą, żalostną i uprzejmą, zwłaszcza uprzejmą, postawę, właściwą wszystkim innym chorym z tego szpitala. I wreszcie, od czasu do czasu szybko i cicho, przemykała biała postać pielęgniarki, rozdierając cień.

Zapytałem Koronczarkę, czy teraz udaje się jej coś zjeść. Z tajemniczym uśmiechem wyciągnęła z kieszeni mały woreczek, trzymała w nim tabletki, których udało się jej nie zażyć. To tym odżywiała się przede wszystkim, wyznała.

Zrobiłem jej głupi i bezsensowny wyrzut, że nie bierze tych wszystkich lekarstw.

Jakiś mężczyzna przeszedł tuż obok nas, przez chwilę uważnie się nam przypatrując. „To lekarz - powiedziała Koronczarka - to właśnie on się mną zajmuje”. Spojrzenie mężczyzny spotkało się ze wzrokiem Koronczarki, ciężko spoczęło na mnie (czy, podobnie jak ja, szukał winnego?). Odwrócił się. Ale

Koronczarka wstała. „przedstawię cię doktorowi”. Nagle wydała się radosna. Znowu znajdowaliśmy się w miejscowości uzdrowskiej. Można by rzec, że byliśmy na wakacjach. Zostanę przedstawiony lekarzowi przez jedną z jego kuracjuszek.

Tabletki w woreczku Koronczarki były tylko modnym kaprysem, jak picie wody siarkowodorowej, pogawędki w cieniu cedrów, przechadzki po parku, gra w brydża w hotelowym salonie.

Koronczarka zrobiła kilka kroków w stronę doktora i cicho go przywołała. Ale doktor nie obejrzał się; szedł dalej, jak gdyby jej nie widział ani nie słyszał.

Doktor ponownie stał się psychiatrą, strażnikiem. Karmienie zwierząt surowo wzbronione. Koronczarka usiadła na ławce, za swoją szybą i swoimi kratami.

Zapytałem ją, czy nie brakuje jej cierpliwości, czy nie czuje się nieszczęśliwa z tego powodu, że tu jest. Powiedziała, że pierwszy raz zadałem jej podobne pytanie. Z pewnością miała rację. Ale dlaczego nie zapomniała o mnie, o nas?

Przypomniała mi spacer, jakie niegdyś razem robiliśmy. Jej wspomnienia były nadzwyczaj precyzyjne; wota w kaplicy, przepływające statki, historia Wilhelma

Zdobywcy. A ja ją miałem za obojętną i powierzchowną! A więc to wszystko miało dla niej znaczenie?

Opanowało mnie nieznośne poczucie winy, jak gdybym to ja spowodował jej szaleństwo, jej chudość, jej uwięzienie. Podjąłem wysiłek, by pozbyć się tego uczucia, każąc jej mówić o mężczyznach, których znała po mnie. Powiedziała, że było ich wielu; opowiadała o pokojach, w których z nimi mieszkała, o spacerach, a nawet o podróżach, jakie odbyła: „Czy znasz Grecję? Byłam aż w Salonikach, wiesz?” Tak więc mój strach, że być może byłem jedynym mężczyzną w jej życiu, osłabł. Koronczarka przyglądała mi się przez kilka sekund z uśmiechem pełnym niemalże matczynej czułości. Wydało mi się, że odgadła mój strach i że ulitowała się nade mną.

Koniec

